POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień — ***Dnia 26-go sierpnia 1944r.*** — **Rok VI. Nr. 34**

TRADYCJE ARMII PODZIEMNEJ



rys. JERZY FACZYŃSKI

Wspaniałe czyny Armii Krajowej, która zajaśniała w pełni swej chwały w ostatnich paru tygodniach, walcząc na tyłach wojsk niemieckich, ułatwiając wyzwolenie Wilna od Niemców, opanowując Lwów, utrzymując w Warszawie jeszcze nieopuszczonej przez wroga zbrojną walkę — oszałamiają ogół swą niezwykłością i mocą.

Dzieje Armii Krajowej urastają do miary legendy, choć są rzeczywistością, tworzoną przez działania regularnych formacji wojskowych. Armia ta, która się wyłoniła z podziemi całkowicie już zorganizowana i wyćwiczona, jest zjawiskiem, które niełatwo pomieścić się może w głowie przeciętnego obywatela obcego. Wypływa ono jednak z ducha narodu i jest logicznym następstwem polskich trudów, wysiłków i ideałów, istniejących prawie całe stulecie, zjawiskiem, które tak mocno jest związane z dziejami Polaków, iż wydaje się, że je łatwo można było przewidzieć.

Siły zbrojne tworzone i organizowane w podziemiach, regularne wojsko polskie w kraju zalanym przez wojska okupacyjne, armia działająca z ukrycia i w stosownej chwili walcząca jawnie, podporządkowana własnemu suwerennemu rządowi, choć rządy formalnie spoczywają w rękach obcej administracji i policji — ma za sobą w Polsce wielkie tradycje.

U ŹRÓDEŁ DOKTRYNY ARMII PODZIEMNEJ

Pomysł regularnej armii podziemnej zbiega się z klęską Polaków w wojnie 1830 — 1831 r. Jasne i twórcze tradycje, poczęte z klęski, wydawać się mogą tylko paradoksem, jednak do jednej z właściwości Polaków należy, iż ich duch nie załamuje się w dniach klęsk najtragiczniejszych, przeciwnie — urastą do olbrzymiej potęgi, wydaje wspaniałe owoce.

Klęska powstania listopadowego pociągnęła za sobą utratę resztek odrębności państwowej Królestwa Polskiego i przekreśliła wojsko polskie. Wojsko, które zawsze stanowi funkcję własnego suwerennego państwa, przestało istnieć, jak przestało istnieć formalnie Państwo Polskie. Poczucie własnej odrębności państwowej mimo to nie zanikło, nadal trwało głęboko ukryte w sercach Polaków. Państwa Polskiego nie oznaczano na mapie, istniało ono jednak, gdyż jego ideał był nieodłączny z czynami narodu i poczynaniami jednostek. Ten ideał posiadał cudowną moc, nie dziw, iż z siłą dążył do przybrania kształtów rzeczywistych.

Poczucie odrębności państwowej wiązało się ściśle z zagadnieniem własnej polskiej siły zbrojnej. Polska wykreślona formalnie z rzędu państw nie mogła posiadać własnego jawnego wojska, a rozumiano, iż wojsko posiadać musi, że jest ono nie tylko atrybucją niepodległego narodu, lecz i środkiem wywalczenia własnego państwa. Zdawano sobie sprawę, iż wolność uzyskuje się tylko poprzez walkę, że odzyskać niepodległość i utrzymać ją da się jedynie zbrojnym wysiłkiem.

W tych warunkach marzenia o niepodległym państwie, o zwycięstwie, o wywalczeniu niepodległości, wydawały się na pozór szaleństwem. "Zdrowy" rozsądek odrzucał próby w tym kierunku. Jednak od chłodnych rozważań silniejszy i "rozsądniejszy" był instynkt wolności i poczucie własnego państwa, które nakazywały wznowienie walki. Przed Polakami stanęło zagadnienie wojska, tworzonego i organizowanego w podziemiach, opartego na sile płynącej z nakazów moralnych i wewnętrznego poczucia narodu. To zagadnienie wiązało się z poszukiwaniem nowych form wojny.

Nauce takiej wojny i formom nowego, niewidzianego dotychczas w dziejach wojska, poświęciły swe rozważania najgłębsze polskie umysły. Głośni wojskowi, wychowani w klasycznych szkołach wojennych, generałowie i oficerowie Napoleona i wojska Królestwa Polskiego, jak Chrzanowski, Bem, Wysocki, Mierosławski, Nieszokoć, Głębocki oraz cywilni rewolucjoniści, jak Kamieński lub Stolcman, zgodnie przelewają swe myśli na papier — i już w latach pięćdziesiątych zarysowują się wyraźnie zręby tej nowej doktryny. Pisze się i mówi o wojnie "partyzanckiej", "szarpanej" lub "ludowej" i ten ostatni właśnie termin najpełniej uchwytuje treść powstającej nauki wojennej i najlepiej odpowiada rzeczywistości.

Narzędzie tej "nowej wojny", będącej hasłem dnia ówczesnego polskich teoretyków i praktyków sztuki wojennej, miało być wojskiem ludowym i demokratycznym, do którego wciągnięty winien być cały naród, a przede wszystkim chłopi i mieszczanie. Wojsko to nie mogło być jednak "kupami zbrojnego ludu", a powinno posiadać wojskową organizację i hierarchię. Organizowane miało być w ukryciu i również w ukryciu odpowiednio szkolone. Dzielić się winno na pozostające w hierarchicznym stosunku do siebie oddziały, odpowiadające regularnym jednostkom wojskowym, i posiadać wyszkolonych oficerów i odpowiedzialnych dowódców. Zachowywać miało normalną dyscyplinę wojskową. Baczną uwagę poświęcić należało służbom zaopatrzenia. Działać to wojsko winno w oparciu o organizację cywilną, a jego dowódcy muszą słuchać nakazów Rządu Narodowego, któryby reprezentował formalnie nieistniejące państwo polskie. Organizacja wojska w podziemiach opierać się miała na podziale terytorialnym, z chwilą jednak gdy wyjdzie z ukrycia, terytorialne oddziały winny automatycznie przekształcić się w regularne jednostki wojska: oddziały powiatu w pułk, województwa — w dywizję i t.p.

DZIAŁANIA REGULARNEJ ARMII PODZIEMNEJ

W końcu piątego dziesiątka lat dziewiętnastego stulecia zawrzała praca nad tworzeniem wojska według wzorów wypracowanych przez polskich teoretyków. W Cuneo we Włoszech Ludwik Mierosławski zakłada polską szkołę oficerską, a nieco później w Paryżu powstają kursy wojskowe i polskie towarzystwa wojskowe. W Kraju wyłaniają się zręby organizacji narodowej, którą kierują zrazu różne komitety. W 1862 r. powstaje Centralny Komitet Narodowy, będący odpowiednikiem rządu. Posiada on organizację cywilną i organizację wojskową.

Organizacja wojskowa — podobnie jak cywilna — opiera się na podziale terytorialnym. Miasteczko, wieś lub grupa wsi posiadały własne podziemne oddziały wojskowe. Dowódcy oddziałów powiatu byli podporządkowani wojskowym naczelnikom powiatów, ci zaś wojewodom, którzy podlegali Wydziałowi Wojskowemu Centralnego Komitetu Narodowego. Przy wojewodzie urzędował dla utrzymania łączności z organizacją cywilną cywilny komisarz.

Wojsko to odbywało regularne ćwiczenia i dzieliło się na bronie, a więc piechotę i kawalerię /o artylerii z braku nadziei zdobycia dział nie mogło być na razie mowy/ i nawet żandarmerię. Do wojskowej organizacji należeli też tak zwani organizatorzy wojenni, których obowiązkiem było zaopatrywanie oddziałów w broń, amunicję i umundurowanie. Do ich obowiązków należała również rekrutacja wojska.

Gdy Centralny Komitet Narodowy, jako Tymczasowy Rząd Narodowy rzucił dnia 22 stycznia 1863 r. hasło walki zbrojnej, oddziały wojska organizowanego w podziemiach wyszły z ukrycia, posiadając nadal swe zaplecze w tajnej organizacji cywilnej. Uderzono na wojsko carskie według z góry opracowanego przez Wydział Wojskowy planu i zmuszono je do koncentracji, więc do opuszczenia mniejszych garnizonów, co rozszerzyło podstawę działań armii polskiej.

Posiadała ta armia swego wodza naczelnego. Pierwszym był gen. Mierosławski, następnym gen. Langiewicz, ostatnim "dyktator powstania" Traugutt. Wojsko to tworzyło większe ośrodki n.p. w Ojcowie, w Węgrowie lub Cisowie. Działało w związkach, dochodzących do pięciu tysięcy żołnierzy lub też zależnie od potrzeb i warunków batalionami czy kompaniami. Jednostki wojska posiadały własne umundurowanie — oznakę wojska regularnego.

Było to wojsko ludowe, grupowało przede wszystkim mieszczan i inteligencję, oficjalistów wiejskich i włościan. Dowódcami jego byli wyszkoleni oficerowie lub żołnierze, którzy wykazali swe zdolności na polu walki. Tak obok głośnych generałów, rekrutujących się z oficerów zawodowych, jak gen. Langiewicz, Hauke-Bosak lub gen. Wysocki, byli tacy generałowie jak Mierosławski, były podporucznik, Rochebrun, ongiś podoficer armii francuskiej, względnie zgoła cywilny Zameczek-Cichorski. Obok byłego błyszczącego oficera gwardii, Padlewskiego lub hr. Komorowskiego, na czele głośnych oddziałów stali student Rogiński, rzemieślnik Borelowski, u którego szefem sztabu był zawodowy podpułkownik z Wyższej Szkoły Wojennej, chłopi Łukaszunus lub Billitis czy księża Mackiewicz i Brzóska.

W początkach 1864 r. wojsko to organizowane w podziemiach przekształca się całkowicie w armię regularną. W wyniku dekretu Traugutta z 15 grudnia 1863 r. zostaje zniesiony podział sił zbrojnych na województwa i powiaty. Jednostkami wojska stały się normalne korpusy, dywizje i pułki. Cała armia ludowa ujęta została w pięć korpusów. I korpus pod gen. Kruk-Heidenreichem miał operować w województwie lubelskim i podlaskim; II korpus pod gen. Hauke-Bosakiem walczył w Sandomierskim oraz Krakowskim i Kaliskim, III korpus z płk. Skałą-Koziełłą tworzył się w Augustowskim, IV w Mazowieckim i Płockim, V pod Jabłonowskim-Dłuskim miał za zadanie działania na Litwie i Żmudzi.

Te regularne siły zbrojne, walczące w kraju zalanym przez nieprzyjacielskie wojska i policję, gdzie rządy i administracja spoczywały w rękach okupantów — były widomym znakiem nieprzerwanego istnienia państwa polskiego. Opierały się na całym narodzie, ożywionym wspólnym duchem walki, i kierowane były przez tajny rząd narodowy. Walczyły zapamiętale, jeden tylko korpus II od stycznia do kwietnia 1864 r. stoczył dziewięć większych bitew, a wśród nich takie, jak pod Rogaczowem, Iłżą lub Opatowem.

To wojsko Polski podziemnej utrzymuje regularną łączność z zagranicą, strzegąc granicy pruskiej i austriackiej. Z zagranicy otrzymuje broń i amunicję, gdyż posiada swych przedstawicieli i agentów we wszystkich nieomal krajach europejskich.

ORGANIZACJA BOJOWA POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Czterdzieści lat po powstaniu styczniowym na nowo wyłania się polska armia podziemna. Dzieje się to w okresie wojny Rosji carskiej z Japonią.

"O nasze cele tak polityczne, jak i społeczne musimy walczyć. I to nie na języki, nie za pomocą bibuły zadrukowanej, lecz z bronią w ręku. Musimy przeciwstawić zorganizowanej sile najazdu, opierającej się na bagnetach żołdactwa, siłę zbrojną mas ludu polskiego. Rewolucja, do której się przygotowujemy, to walka orężna armii ludowej z armią caratu" — w myśl tego hasła sformułowanego przez Józefa Piłsudskiego powstaje po krwawej manifestacji zbrojnej w Warszawie na Placu Grzybowskim z 10 lutego 1904 r. sześciotysięczna "Organizacja Bojowa Polskiej Partii Socjalistycznej" rzucona w latach 1904 — 1907 do zbrojnej walki z caratem.

Organizacja Bojowa grupowała świat ludzi pracy. Stanowiła wojsko robotnicze, walczące o niepodległość Polski. Z ideałem tej Polski łączyła ideały szerokiej demokracji i sprawiedliwości społecznej.

Oddziały Organizacji Bojowej przechodziły specjalne wyszkolenie. Panowała wśród nich dyscyplina wojskowa. Zadaniem organizacji było bezustanne niepokojenie wojska i policji carskiej Rosji, sprawującej rządy w Królestwie, napady zbrojne na carskie urzędy, niszczenie komunikacji, udaremnianie przesunięć wojska i t.p.

Po upadku ruchu rewolucyjnego armia ta schodzi głębiej w podziemia.

"Był to naprawdę przecenny posiew krwi . . . były to pierwsze kadry armii polskiej. Po raz pierwszy od czasów powstania 1863 — 1864 r. stworzyli oni prawdziwą siłę zbrojną, pozostającą w czynnej walce z caratem" — tak oceniła historia krwawe zmagania tej polskiej armii robotniczej.

ZWIĄZEK WALKI CZYNNEJ, ZWIĄZKI STRZELECKIE I SOKOLE

W r. 1908 w Krakowie powstaje nowa armia polska, której początek daje Związek Walki Czynnej. W ślad za nią wyłania się Związek Strzelecki, Drużyny Sokole i Strzeleckie.

Zakładane są szkoły oficerskie i podoficerskie, tworzą się kadry wojska, choć imię Polski jako państwa nadal jest wykreślone z map i atlasów.

Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej ta armia podziemna występuje jawnie, ujęta w wojsko regularne.

POLSKA ORGANIZACJA WOJSKOWA I WOJSKO POLSKI ODRODZONEJ

Od 1917 r. Polskie Siły Zbrojne znajdują się znowu w podziemiach jako Polska Organizacja Wojskowa i Organizacja Bojowa P.P.S. Walczą z ukrycia z okupacją niemiecką.

W tym samym czasie na terenie Rosji powstają regularne polskie formacje wojskowe. W ostatnich miesiącach 1918 r. żołnierze tych formacyj przechodzą w podziemia tworząc t.zw. samoobrony: wileńską, lidzką, oszmiańską i inne.

Z tych kadr podziemnych w listopadzie 1918 r. wyłaniają się Siły Zbrojne, które orężem wywalczają niepodległość Rzeczypospolitej i zakreślają jej granice.

Dosłownie — nie w przenośni — żołnierz Polski Odrodzonej wyrósł z podziemi.

ARMIA KRAJOWA DOBY WSPÓŁCZESNEJ

W chwili obecnej stoimy wobec sytuacji podobnej. Choć Kraj jest zalany od pięciu lat przez wojska niemieckie, polska państwowość nieprzerwanie trwała i trwa, a widomym symbolem jej są Rząd Rzeczypospolitej i Polskie Siły Zbrojne. Te Polskie Siły Zbrojne walczyły w Norwegii, we Francji, zaszczytną odegrały rolę w "Bitwie o Wielką Brytanię", krwawiły się w Afryce, odnoszą obecnie triumfy we Włoszech, składają ofiarną daninę krwi w Normandii, zmagają się z nieprzyjacielem w powietrzu i na morzach i walczą w Kraju nieprzerwanie od dnia 1 września jako regularne Siły Zbrojne, następnie jako podziemna Armia Krajowa.

Armia Krajowa dziś wyszła z ukrycia, by dalej prowadzić swój ciężki, krwawy trud i dziełem jej pełnym chwały jest rozgrywająca się w danej chwili walka z wojskiem niemieckim o wyzwolenie Stolicy Niepodległej Rzeczypospolitej.

EDMUND OPPMAN



Przegląd tygodniowy

TRZY TYGODNIE

Gdy ten numer "Polski Walczącej" oddajemy do druku, upływa trzeci tydzień walki prowadzonej z niezrównanym heroizmem przez najbardziej bohaterskie miasto świata, walki prowadzonej wśród nieopisanych ofiar, cierpień, poświęceń, w warunkach nieporównanie cięższych, niż przed pięciu laty, prowadzonej dłużej jeszcze, niż wtedy, z większą, niż wtedy zaciętością, bardziej jeszcze, niż wtedy, na śmierć i życie.

Warszawa walczy do tej chwili samotnie, choć słyszy coraz wyraźniej grzmot dział od wschodu. Pewna pomoc powietrzem przyszła z baz włoskich, na bombowcach R.A.F., poniesiona przez lotników brytyjskich, południowoafrykańskich i polskich, ofiarna, okupiona dużymi stratami. Zbyt mała w stosunku do potrzeb walczącej Warszawy, stanowiła w danych warunkach znaczny wysiłek. Udzielenie jej na skalę dużo większą było by możliwe w formach niezależnych wyłącznie od naszych sojuszników zachodnich.

Wzruszające było podziękowanie walczącej Warszawy. Ze zgryzotą myślimy o tym, że otrzymała cząstkę zaledwie tego, co należało by zrzucić.

Natomiast odżyły walki na północny wschód od Warszawy. Pojawił się w początku tygodnia w komunikacie Kamieńczyk nad Bugiem, później wiadomość o ciężkich kontratakach niemieckich z masą czołgów bliżej Warszawy i o odbiciu przez Niemców Ossowa — pamiętnego z walk 1920 r., miejsca zgonu ks. Skorupki. Oznaczało to, że wojska sowieckie wdarły się już wewnątrz ówczesnego, szerszego przedmieścia Warszawy. Następnie przyszła wiadomość o odparciu niemieckich przeciwnatarć, później niemieckie wiadomości o naporze sowieckim z tej strony. Natarcie na przedpole Warszawy rozwija się w ten sposób, że spycha Niemców ku przeprawom w mieście, bezpośrednio zagrożonym przez Polaków i ku szlakom odwrotowym, wiodącym przez walczące miasto. O przykrych dla Niemców następstwach tego położenia pisał już "*Völkischer Beobachter*" w artykule wstępnym, składając hołd mimowolny bohaterstwu niezwalczonych dotąd "buntowników".

Szczerze żałujemy, że komunikat "Tass" uznał za właściwe ustalić, że strona sowiecka nie ma nic wspólnego z powstaniem w Warszawie. Szczerze żałujemy, że moskiewskie "Prawda" i "Izwiestja" połączyły uznanie dla bohaterstwa Warszawy z ciężkimi oskarżeniami naszych władz i dowódców. Nikt poważny ze strony polskiej nie twierdził, by powstanie nastąpiło na wezwanie Sowietów. Wprawdzie 29 i 30 lipca radio "Kościuszko" nawoływało Warszawę do broni, jak o tym przypominają pisma brytyjskie, ale nie to wpłynęło na postanowienie polskich władz w Warszawie.

W prasie sowieckiej i anglosaskiej spotyka się zarzuty, że Rząd Polski czy też Wódz Naczelny wywołał powstanie po to, by móc uprzedzić oswobodzicielskie wojska sowieckie i Armii Krajowej przypisać zasługę wyzwolenia stolicy. Jak wspominaliśmy już dwa tygodnie temu, nie znamy elementów decyzji władz krajowych co do wyboru chwili wystąpienia. Jeśli jednak zważymy, że akcja zaczęła się, gdy wojska sowieckie docierały do Pragi, rzecz staje w świetle dosyć jasnym. T.zw. "uprzedzenie" staje się raczej aktem instynktowego współdziałania przez uderzenie z tyłu na wspólnego przeciwnika i odcięcie mu odwrotu.

Jak w poprzednich walkach, tak i tym razem poświęcenie się Armii Krajowej i jej żołnierska służba stworzyły fakty nieznane od wieków w historii Polski i Rosji, fakty wspólnej walki polskich i rosyjskich sił zbrojnych przeciw Niemcom. Dlaczego walka nie była "uzgodniona", nad tym wolimy się nie rozwodzić; sądzimy, że w interesie obu narodów jest to, by poniesione w niej ogromne ofiary nie były daremne, a pamięć ich nie była źródłem goryczy na całe pokolenia.

WZNOWIENIE WIELKICH OPERACYJ NA WSCHODZIE

Wielkie operacje na froncie wschodnim rozwinęły się nie tylko na kierunku Warszawy. Ofensywa sowiecka poczyniła postępy w Sandomierskim, gdzie zaznaczył się poważny sukces taktyczny. Na froncie Prus Wschodnich w rejonie Wierzbołowa toczy się walka o przełamanie potężnego frontu niemieckiego. Dalej na północ nad Szeszupą ciężkie walki nierozstrzygnięte. Na północ od Szawel Niemcy z użyciem dużych sił pancernych usiłują przedrzeć się na Mitawę, by oswobodzić swe armie odcięte w Łotwie i Estonii, gdy tymczasem ofensywa sowiecka od Pskowa poprzez południową Estonię czyni groźne postępy, dosięga Dorpatu, grozi rozbiciem tych armii.

Można stwierdzić, że na wschodnim froncie trwają ciężkie zmagania się, że Niemcy raz po razu usiłują odzyskać inicjatywę, że czynią to siłami ograniczonymi, z połowicznymi wynikami, odnosząc sukcesy lokalne i przejściowe, obracające się już w paru wypadkach w porażkę, jeśli jeszcze nie w klęskę.

"VERNICHTUNGSSCHLACHT"

No i mają we Francji "*Vernichtungsschlacht*" według najlepszych recept von Schlieffena, taką typu "Cannae", albo typu "Sedan", czy też "Tannenberg", tylko w wyolbrzymiałej skali.

W chwili, gdy to piszemy, kończy się likwidacja ośmnastu dywizyj 7-ej armii niemieckiej, osaczonych w "kotle" pod Falaise. Radzi jesteśmy, że los ich został przypieczętowany atakiem naszej dywizji pancernej na Trun. Wygniatane są teraz ich resztki. Co zdołało się wyrwać ku wschodowi i całe prawe skrzydło 7-ej armii, cofające się z nad dolnego brzegu rzeki Orne uchodzi w postępującym nieładzie, bombardowane i ostrzeliwane z powietrza, ścigane przez sprzymierzone wojska pancerne, wyprzedzone przez Amerykanów na drodze do Paryża, do którego już dotarły ich elementy czołowe, oraz u przepraw Sekwany pod Mantes i pod Vernon. Przez dolną Sekwanę /pod Rouen/ wycofać mogą Niemcy część ludzi. Sprzętu wobec zbombardowanych mostów zapewne nie ocalą. W "kotle" zostało cmentarzysko niemieckich żołnierzy, dział i czołgów. Drogi wiodące ku Sekwanie zasłane są tysiącami rozbitych samochodów, setkami czołgów. I na nich śmierć zbiera żniwo. Straty niemieckie od początku inwazji wyniosły już 200,000 jeńców. Liczba zabitych i rannych jest zapewne jeszcze wyższa; całość wynosić może pół miliona, ale nie koniec na tym.

Ta bitwa przesądziła o wszystkim. Von Kluge nie ma już czym stoczyć drugiej, ani o Paryż, do którego docierają Amerykanie, ani o linię Sekwany, ani bodaj już nigdzie we Francji. Bitwa zamieniła się już w pościg ogólny, przypominający żywo pościg napoleoński po Jenie, pamiętny pościg, uwieńczony zagładą pruskiej armii.

Po bitwie pod Jeną pruski sztabowiec rzekł z gorzkim humorem: "*Adieu, preussische Monarchie*". Po tej bitwie niejeden mówi sobie: "*Adieu, Drittes Reich*".

My, Polacy, cieszymy się świetnymi powodzeniami naszych pancernych "*ardent Poles*", jak o nich pisze "*Times*", tym, że bili się zwycięsko z kilku kolejno dywizjami wroga, że stale brali górę nad niemiecką bronią pancerną, że nabrali ponad tysiąc jeńców, że zaskoczyli i zabrali kwaterę główną niemieckiej dywizji pancernej. Patrząc zaś na pogrom Niemców myślimy o wrześniu 1939 roku: o naszych armiach ginących pod nawałą bomb, poodcinanych przez dywizje pancerne, miażdżonych czołgami; o zasłanych trupami polskich drogach; o szalejącej po całym kraju *Luftwaffe*.

Teraz wszystkiego tego zaznali Niemcy. "Odwróciły się wody i pokryją wozy i żołdaków".

KAMPANIA FRANCUSKA

Od pola bitwy na zachodzie Francji, dającego się określić czworobokiem Caen — Avranches — Mortagne — Lisieux, przechodzimy do ogólnych linii kampanii francuskiej. W tej chwili są to już właściwie dwie kampanie: jedna Eisenhowera, druga Maitland Wilsona na południu Francji.

W chwili, gdy po przełamaniu zachodniego skrzydła frontu niemieckiego w Normandii armie amerykańskie wydobyły się na rozległe przestrzenie Francji, zarysowały się główne linie manewru. Armie brytyjska i kanadyjska Montgomery'ego wiążą nieustającymi natarciami gros sił przeciwnika, Amerykanie Bradley'a osaczają go od południa a trzecią armią Pattona uprzedzają go na wszystkich kolejnych liniach odwrotu.

Był to manewr w klasycznym stylu napoleońskiego manewru na tyły. Amerykanie wojskami szybkimi sięgnęli odrazu daleko na tyły armii niemieckiej w południowo-zachodniej Francji i ku środkowej Sekwanie, od razu wydzierając przeciwnikowi możliwości odwrotu i przegrupowania. Zalewając kraj, mogli rozproszyć siły; mogło zabraknąć ich na bezpośrednich tyłach walczących armii niemieckich. Tego niebezpieczeństwa uniknęli. Nie ściągnął ich armii ku sobie taki magnes, jak stolica Francji. Znaleźli się w porę na bliskich komunikacjach niemieckich. Jednocześnie zaś częścią sił manewrują daleko na prawo, odcinając dziś Niemców od Paryża, jutro może sam Paryż od Niemiec. Już są w Wersalu, w Melun i Fontainebleau, a Niemcy mówią o lądowaniu sprzymierzonych wojsk powietrznych na wschód od Sekwany i zasileniu ich czołgami.

Von Kluge ściągnął do bitwy w Normandii wszystkie prawie swe dywizje pancerne i motorowe z południa i północy Francji, najlepsze dywizje piechoty ze swej północnej 15-ej armii zza Sekwany. Teraz w tamtych uszczuplonych armiach przeważają dywizje typu obronnego, niezdolne do szybkiego ruchu. Stąd trudność rekoncentracji celem stawienia czoła inwazji w nowej bitwie, zwłaszcza gdy każdy ruch narażony jest na bomby lotnicze. Dlatego zachodzi również możliwość, że Amerykanie z obszaru Paryża lub innych przepraw przez środkową Sekwanę, wyjdą na tyły wojsk niemieckich w północnej Francji.

W tak zarysowującej się sytuacji nastąpiło lądowanie Sprzymierzonych we Francji południowej. Armie ich opanowują Prowancję, wychodzą na drogi w kierunku Grenoble i Lyonu. Domniemana oś ich ofensywy wychodzi na Lyon i Dijon, gdzie zapewne nawiążą łączność z armią Pattona. Grozi to odcięciem armii niemieckich w południowo-zachodniej Francji.

Mówią, że Niemcy stawią czoło na linii Renu. Linia ta z natury potężna, potężnie umocniona. Ale armie niemieckie, czy raczej ich resztki, są od niej przeważnie dalej niż sojusznicy. Kampania francuska może w wyniku dalszego przebiegu otworzyć drogę do inwazji Niemiec.

POWSTAJĄCA FRANCJA

Błyskawiczna ofensywa Sprzymierzonych pożerająca przestrzeń Francji nie byłaby możliwa w tym czasie i z tymi wynikami, gdyby nie udział powstającej Francji.

Wojska francuskie biją się na obu kierunkach. W bitwie z 7-ą armią niemiecką bierze udział francuska dywizja pancerna wsławionego kampanią afrykańską generała Leclerc. W inwazji południowej Francji bierze udział silna armia francuska generała De Latre de Tassigny, tego, który w listopadzie 1942 r. próbował zbrojnego oporu przeciw Niemcom w tej samej części kraju. Ma to znaczenie wojskowe, bo wiemy, jak bitne to wojska i jak będą walczyć na ojczystej ziemi. Ma nieopisane znaczenie moralno-polityczne, że Francja widzi wśród wojsk wyzwalających swe wojska narodowe.

Ale najdonioślejszy wkład Francji do zwycięstwa daje jej Armia Krajowa — *Forces Françaises de l'Intérieur*. Przeszła ona do jawnego działania, podobnego jak "Burza" w Polsce. Atakuje komunikacje, transporty, pomniejsze garnizony. Zużywa, wiąże, ubezwładnia znaczne siły wroga. Ale co bodaj nie mniej doniosłe: opanowuje i obsadza terytorium, co pozwala na oszczędzanie sił operujących armii, wyręcza je w ubocznych zadaniach, chroni od rozproszenia wysiłków.

Nam narzuca się myśl, jak niezmierną rolę miałyby w ogólnym przebiegu wojny działania naszej Armii Krajowej, gdyby były, zgodnie z propozycjami wciąż z naszej strony ponawianymi, włączone w ogólny plan wojenny Sprzymierzonych.

Z radością witamy powstającą Francję, odrodzoną przez cierpienia i przez opór podziemny i znów idącą przez boje i ofiary do wielkości.

TRIARIUS

Nowości lotnicze

Sprawa pomocy lotniczej dla Warszawy, walczącej samotnie od przeszło dwu tygodni, zajmuje dziś wszystkie umysły. Nie tylko Polaków, lecz i tych wszystkich obywateli demokratycznego świata, którzy nie rezonują, gdy wolność narodu wchodzi w grę. Toteż cała prasa światowa pełna jest wiadomości o tych bojach, które w swej determinacji i poświęceniu — właśnie dla idei wolności, mało mają równych sobie w historii wojen.

Wszyscy piszą o koniecznej pomocy dla tej garści walecznych. Spróbujmy omówić tu możliwości udzielenia Warszawie pomocy — z lotniczego punktu widzenia.

Wysłanie pomocy, szczególnie w obecnie istniejących warunkach, nie było rzeczą ani łatwą, ani prostą. Jest to bowiem operacja, która przede wszystkim wymaga bardzo dokładnej organizacji przed wykonaniem. Samo zaś wykonanie wymaga bardzo doświadczonych załóg. Załogi winny być specjalnie trenowane, piloci i nawigatorzy odpowiednio dobrani, posiadający poza tym doświadczenie w tego rodzaju operacjach. Mimo najdokładniejszych nawet przygotowań, operacja taka jest zawsze ryzykowna, choćby zrzuty miały być dokonane nad terenem niebronionym, co zresztą w tym wypadku nie ma miejsca.

W każdym razie, by zmniejszyć owo ryzyko i uczynić pomoc naprawdę skuteczną /a więc nie biorąc nawet pod uwagę strat w ludziach/ — przygotowania muszą trwać przez pewien czas. Taka operacja wymaga specjalnych samolotów i sprzętu.

W konkretnym wypadku pomoc musiała być z konieczności improwizowana. Operacje lotnicze o takim lub podobnym charakterze, jak tego już nie raz nauczyła nas obecna wojna, nie znoszą improwizacji. Za improwizację w podobnych wypadkach płaci się z reguły bardzo słono — przy minimalnych szansach udania się całego przedsięwzięcia. Nawet przy drobiazgowej organizacji i przy najlepszym wykonaniu, nie ma się nigdy pewności, czy zrzuty padną na przewidziany dla nich teren. A w konkretnym wypadku teren był bardzo ograniczony, trudny do odnalezienia, niejasny dla nawigatora, zwłaszcza w nocy i przy intensywnej obronie przeciwlotniczej.

Trudności podobne wyłaniają się przed R.A.F. i P.A.F. /przed lotnictwem angielskim i przed lotnictwem polskim/. Natomiast były by znacznie mniejsze, gdyby pomoc dla Warszawy szła z lotnisk położonych nie o 750 mil. lecz o 50 — 70 mil. Wtedy bowiem:

a/ można użyć większej ilości maszyn;

b/ waga, a więc ilość i jakość zrzuconego sprzętu może być wydatnie powiększona kosztem paliwa;

c/ ryzyko długiej nawigacji odpada;

d/ wyprawa może być przeprowadzona nawet w dzień pod osłoną silnego lotnictwa myśliwskiego, co by zwiększało szanse dostarczenia potrzebującym pomocy;

e/ organizacja takiej wyprawy byłaby łatwiejsza do zaimprowizowania.

Z naszych rozważań jasno wynika, że pomoc dla Warszawy powinna iść nie z lotnisk południowych, lecz ze wschodnich.

Luftwaffe we Francji wystąpiła onegdaj po raz pierwszy zaczepnie, atakując w większych zespołach lotnictwo alianckie. Pierwsze większe starcie, skończyło się dla *Luftwaffe* niekorzystnie. Jeżeli jednak *Luftwaffe* zaangażuje dalsze siły, nie ograniczając się do jednorazowego wysiłku osłonięcia wycofujących się sił pancernych gen. von Kluge, może dojść wreszcie do tak długo oczekiwanej bitwy powietrznej, która — nie ulega żadnej wątpliwości — musi zadecydować już na trwałe o panowaniu lotnictwa Sprzymierzonych nad kontynentem centralnej i zachodniej Europy. Naturalnie, z teoretycznego punktu widzenia, zwycięstwo mogłoby się równie dobrze znaleźć w rękach niemieckich, lecz nawet gdyby *Luftwaffe* udało się skoncentrować na terenie Francji potrzebne siły w przestrzeni i czasie, by taką wielką bitwę rozegrać zwycięsko, to przecież dla Niemców nie będzie ona decydująca żadną miarą. Zapewniałaby w razie wygranej przejściowe opanowanie powietrza na ograniczonym terenie, lecz nigdy na stałe. Byłaby zaś tak kosztowna, że *Luftwaffe* nie mogłaby już rozegrać drugiej bitwy nad tym samym terenem, ani tym bardziej dalszych nad innymi terenami operacyjnymi.

Wielka bitwa powietrzna we Francji miałaby dla Niemców tylko wtedy jakiś zdrowy sens, gdyby, wykorzystując swe centralne położenie, mogli przeprowadzić kolejne operacje, rozprawić się po kolei z lotnictwami alianckimi na południu Francji, we Włoszech, na Bałkanach i w Rosji. Ponadto, gdyby mogli zniszczyć i pokonać te zapasowe siły, któreby znów po stronie alianckiej znalazły się nad północną Francją. Zaryzykowanie takiej bitwy dziś, byłoby raczej czynem rozpaczy.

Na to wszystko *Luftwaffe* nie stać ani liczebnie, ani jakościowo, ani też pod względem zaopatrzenia. *Luftwaffe* cierpi w tej chwili nie tylko na brak paliwa /niedawno temu w obronie Monachium myśliwcy niemieccy startowali z niepełnymi bakami, co może być tylko tłumaczone brakiem paliwa/, lecz przede wszystkim na chroniczny brak załóg. Jej stany liczebne pierwszej linii, jak to już nieraz stwierdzaliśmy, liczyłyby się może poważnie, gdyby były użyte na jednym froncie, lecz są całkowicie niewystarczające na kilka frontów, z których jeden, rosyjski, jest tak olbrzymi, że sam połknąłby z łatwością zdwojony stan całej *Luftwaffe*.

A tu do tego wszystkiego doszedł jeszcze jeden front — front południowo francuski, otwarty lądowaniem wojsk alianckich w rejonie Nicea-Toulon w dniu 15 b.m. Nie można się tedy dziwić, że na tym froncie lotnictwo alianckie nie znalazło przeciwnika w powietrzu. W czasie lądowań pierwszego dnia zanotowano tylko jeden wypadek zaatakowania statku alianckiego na morzu. Poza tym powietrze było pełne jedynie samolotów alianckich, które bombardowały co chciały i jak chciały.

Na froncie rosyjskim lotnictwo niemieckie zgrupowało się w dwóch punktach: na północy, oraz w centrum frontu i tam walczy z ogromną przewagą lotnictwa rosyjskiego. Charakterystyczne dla działań lotniczych obu stron w tych rejonach jest to, że ograniczają się głównie do wspierania własnych sił lądowych przez dążenie do przewagi w powietrzu nad pewnymi punktami frontu, oraz przez bombardowanie komunikacji zafrontowych nieprzyjaciela. Rolę lotnictwa strategicznego przejęły na siebie na korzyść Rosji RAF z lotnictwem amerykańskim pospołu. Niemcy nie mają w ogóle lotnictwa strategicznego.

Obok "bomby latającej" oraz całego szeregu rozmaitych wynalazków technicznych w rodzaju torped rakietowych, samolotów zczepionych, z których jeden jest rodzajem latającej bomby, obok innej torpedy powietrznej kierowanej falami radiowymi z samolotu matki, oraz wielu, wielu innych mniej lub bardziej groźnych figlów, *Luftwaffe* dostała nowe typy samolotów.

Najciekawsze z nich noszą miana "Me. 262" oraz "Me. 163". Oba te samoloty są samolotami myśliwskimi, oba odeszły w swym napędzie i konstrukcji od dotychczas znanych typów niemieckich.

"Me. 262" jest dwusilnikowym samolotem o napędzie propulsyjnym /odrzutowym/. Wyróżnia go bardzo wielka szybkość, podobno dość silne uzbrojenie i niezwykle drobne wymiary. "Me. 163" natomiast jest samolotem o napędzie rakietowym, jest t.zw. "latającym skrzydłem" gdyż nie ma ogona, jest także szybki i dobrze uzbrojony. Jednak ani szybkość, ani uzbrojenie nie zdołało "Me. 163" uratować od losu wielu innych "Me." i "F.W." Mianowicie przy pierwszym spotkaniu z amerykańskimi "Mustangami" nad środkowym okręgiem Niemiec, z trzech zaangażowanych bezogonowców, dwa zostały zestrzelone, jeden z trafionych rozleciał się w powietrzu.

Z "Me. 262" jeszcze nie było walki. Napewno jednak niebawem sposobność się nadarzy. Z tego pierwszego niepowodzenia Niemców z ich nowymi typami samolotów bynajmniej nie należy wyciągać fałszywych wniosków, że oba te samoloty niemieckie są gratami bez wartości. Oba są samolotami wartościowymi, o bardzo dużych zaletach bojowych. Niewątpliwie w większych skupieniach mogą być, dzięki swym przypuszczalnym zaletom bojowym, groźnymi przeciwnikami. Jednak jedno "ale": o ile będzie czas na to, by te samoloty wyprodukować w dostatecznej ilości. Na to wszakże potrzeba jeszcze wielu miesięcy. W każdym razie Niemcy rozwinęli te typy w rekordowo krótkim czasie, przechodząc od pierwowzoru, przez wszystkie stadia prób, aż do chwili mniej lub bardziej masowej produkcji gotowego typu. Jeszcze niedawno słyszeliśmy o doświadczeniach z tymi samolotami w Peenemuende, sławnej wylęgarni niemieckich pomysłów technicznych.

Reasumując wiadomości o rozmaitych "V" /"*Vergeltungswaffen*"/, przypuszczamy, że o ile Niemcy są gotowi z produkcją sławnego V.2. /torpedy powietrznej o napędzie rakietowym/ będzie to broń o bardzo niesamowitych właściwościach, szczególnie groźna dla wielkich skupisk ludzkich i przyczyni Aliantom jeszcze bardzo wiele kłopotu. Przypuszczać także należy, że nim Niemcy rozpadną się naprawdę, nim legną pokonani — jeszcze, w myśl słów Goeringa wypowiedzianych w 1941 r.: "tak zatrzasną drzwi za sobą, że Europa się zatrzęsie". Leży to całkowicie w psychologii straceńców, jakimi są hitlerowcy.

M. J. GORDON

Odyssea bojowa dwóch marynarzy

ODZNACZENIA ZA "NIE WIADOMO CO"

Ciekawym zjawiskiem w nowoczesnej wojnie, są odznaczenia nadawane czasem ludziom, o których dane środowisko jakoś nie może nic powiedzieć. Bywa czasem, że przy odznaczeniach jakiegoś oddziału lub jakiejś grupy danej części siły zbrojnej, wymienione jest jakieś nazwisko. Wszyscy zachodzą w głowę — kto to jest? Potem nagle przypominają, że ten "ktoś", to przecież kiedyś z nimi razem był. Lecz gdzieś się zapodział. I oto nagle po długich latach wypływa jego nazwisko wraz z jakąś zaszczytną wzmianką i odznaczeniem.

A więc ten "ktoś" — "znikł" celowo. Znikł na rozkaz władz. Znikł tak cicho, bez efektów zewnętrznych, znikł niepostrzeżenie po to, aby wykonać ważne zadanie. Takich "znikań" umyślnych było tysiące. Może dziesiątki tysięcy. To ciężka praca wojenna. Ileż niebezpieczeństw i ile samozaparcia. Ile trudów, czasem znojnych a nieefektownych. W rezultacie jest to bohaterstwo i jest w tym romantyzm nowoczesnej wojny.

Czasem ktoś znika w ten sposób, że jest naprawdę uważany za nieżyjącego. Lecz oto nagle okazuje się, że żyje. Że przeszedł przez ogień, przez wodę i przez tysiące piekieł. Czasem wykonał pracę większą, niż gdyby był na jakimś normalnym stanowisku wojennym.

NIEZWYKŁA POCHWAŁA DWU STARSZYCH MARYNARZY

O wyczynach Polskiej Marynarki Wojennej, o działaniach w tej wojnie polskich okrętów wiemy już dość dużo. Bohaterstwo wspólne, zbiorowe, oficerów, podoficerów i marynarzy polskich jest znane i odpowiednio oceniane przez przedstawicieli najbardziej morskiego narodu. Przecież trzeba pamiętać, że z pięćdziesiąt procent wszystkich bojowych brytyjskich odznaczeń nadanych przedstawicielom wszystkich marynarek alianckich /poza brytyjskimi, ma się rozumieć, i może obecnie poza amerykańskimi/, przypada Polakom.

W polskiej rodzinie morskiej zdarzył się ostatnio wypadek dotyczący innego rodzaju służby i męstwa. Ogłoszona w tych dniach pochwała Szefa Marynarki Polskiej dotyczyła nazwisk marynarzy, których uważano za obywateli tamtego, lepszego świata. I oto okazuje się, że żyją. Że w czasie, w którym ich uważano za śpiących snem sprawiedliwych, przechodzili takie dzieje, iż naprawdę trzeba było mieć wiele hartu i odwagi, żeby wszystko przezwyciężyć i wrócić na miejsce dawnego zaokrętowania.

Słownictwo marynarskie jest ścisłe. Styl rozkazów jest suchy. Lecz nawet to, co o Starszym Marynarzu Ryszardzie i o Starszym Marynarzu Alfonsie powiedziano — jest piękne. A więc ogół marynarski dowiedział się, że Starsi Marynarze Ryszard i Alfons żyją i że admirał, w imieniu służby udziela im pochwały *"za to, że po przypadkowym dostaniu się na teren nieprzyjacielski wykazali przedsiębiorcze, odważne i wytrwałe postępowanie w trudnych i niebezpiecznych warunkach. Wymienieni w ciągu trzech miesięcy przebyli lądem i w końcu morzem około 230 kilometrów w linii prostej, przekroczyli linię frontu i połączyli się z własnym oddziałem".*

230 KLM. W CZASIE ŚNIEŻNEJ WIOSNY

Tak, "trudne i niebezpieczne warunki" . . . lądem i morzem, około 230 klm. W "linii prostej" . . .

Dla kogoś, kto pobieżnie czyta te słowa, nie mają one tego znaczenia, co dla kogoś, kto zna dokładniej, jakie naprawdę to były trudne warunki. Trzy miesiące . . . Pomyśleć: trzy miesiące poza liniami nieprzyjaciela. Przypomina się przy tej okazji dyskusja w Izbie Gmin, gdy jeden z posłów zaatakował Churchilla, zapytując go w sprawie pewnej przewlekłości kampanii w Italii — "czy nasi tamtejsi generałowie nie mieli za dużo zbytniego optymizmu, przewidując dalsze posuwanie się w terenie". Churchill sucho na to odpowiedział: "Nie wiem czy było tam bardzo dużo zbytniego optymizmu, wiem tylko, że było tam bardzo dużo złej pogody".

Istotnie. Wiosna tego roku w Italii nie była wcale wiosną. Lato nie chciało też przyjść. W ogóle nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego o tym kraju, gdzie wojska brnęły w kilkustopowej warstwie śniegu, mówiło się "słoneczny, ciepły, piękny kraj". Nasi marynarze maszerowali przez tereny, gdzie było półtora metra śniegu. Były takie trzy doby, w których uszli, stale maszerując — siedem i pół kilometra. Ale to nie były te jedyne trudne i niebezpieczne warunki . . .

JAK SIĘ ZACZĘŁO PEWNEJ NOCY

Ale, zacznijmy od początku. Historia ta nie jest z rodzaju takich, któreby decydowały o losach wojny. To jasne. Ale wiemy, że nawet ogromne, tak zwane "decydujące" bitwy, nawet takie "Stalingrady", albo straszliwe operacje bombardowania nie wpłynęły na *rozstrzygnięcie* wojenne. Życie codzienne, praca, wysiłek wojenny i akcje bojowe, w których biorą udział tysiące i miliony małych, szarych ludzi, osobowość jednostek sklejona razem, razem, razem w ogromną, przeogromną masę woli i wysiłku — dopiero to wszystko wywiera wpływ na decydujące rozstrzygnięcia . . . Dlatego wyczyn Starszych Marynarzy Ryszarda i Alfonsa interesuje nas jako cząstka ogólnego wysiłku, a także jako wyczyn typowy dla Polaka.

Oto historia Ryszarda i Alfonsa — w bardzo wielkim streszczeniu.

Czarna, chłodna noc. Wyjątkowo chłodna, jak na Morze Śródziemne. Jednostka morska, na której zaokrętowani są Ryszard i Alfons, zbliża się na pewną odległość do brzegu, na którym nieprzyjaciel siedzi mocno. Bliżej podejść nie można. A zadanie jest ważne. Rozkazy suche i dokładne. Trzeba dokonać pewnej delikatnej i ryzykownej operacji. A więc to właśnie Ryszard i Alfons są wybrani. Mają oni za zadanie udać się łodzią, w bardzo ściśle określonym celu, do samego brzegu. Po wykonaniu zadania, powrócić na swoją jednostkę . . .

Było niezbyt wietrzno. Przy brzegu jednak fala dość znaczna. Około północy zadanie było już wykonane. Wszystko udało się znakomicie. Wiatr dął z lądu, a więc nawet tego leciutkiego szmeru jaki sprawiały ostrożne uderzenia wioseł o wodę i innych odgłosów podczas operacji Ryszarda i Alfonsa, nikt na lądzie nie usłyszał. Zadanie wykonane — teraz co prędzej wracać na jednostkę.

Lecz nagle nadbiega duża fala. Łódź obracająca się w tym momencie dziobem w kierunku morza, uderza z siłą o podwodny, ostry kamień. W dziobie dziura . . . Woda szybkim strumieniem wlewa się do łodzi. "Załoga" usiłuje ją ratować. Trzy, mocno napompowane pasy ratunkowe mocuje pod dziobem. Siada na samej krawędzi rufy, aby wynurzyć dziób jak najbardziej. Stara się posuwać się w kierunku swojej jednostki. Lecz . . . niestety łódź tonie. Sygnałów nadawanych latarką na jednostce własnej widocznie nie dostrzeżono.

Tracą łódź. Ledwo ratują życie, dostając się z trudem na brzeg. Nie mają ze sobą nic.-

O nie, przepraszam, mają rewolwery. Są na brzegu, i co dalej? A nieprzyjaciel teraz już coś zauważył. Pewnie ich sygnały świetlne, a potem jakieś hałasy, borykanie się z tonącą łodzią . . .

NA WROGIM BRZEGU

Z odległości 30 — 50 metrów strzały. Karabiny maszynowe grają. Pociski kładą się tuż przy nich. Prawie tuż przy brzegu biegnie tor kolejowy. Przy przeskakiwaniu przez tor dostają kilka serii, kładących się o kilka centymetrów przy nich. Żyłka bojowa zagrała. Już nie uciekają . . . podejmują walkę. W dwa pistolety przeciw dwu karabinom maszynowym . . .

Potem przestają strzelać i wykonują nagłe, błyskawicznie szybkie skoki na zbocze toru. Ogień karabinów maszynowych nie ustaje ani na chwilę. Tak leżą 20 minut. Wreszcie podrywają się do biegu i wieją w głąb lądu. Karabiny maszynowe tracą ich ślad. Ogień ustaje.

Ryszard i Alfons wkraczają w swoje "nieznane". Dalsze ich przygody, to po prostu jak ze scenariusza filmowego. Kto miał możność obejrzenia filmu "*49th Parallel*" /który zresztą najniepotrzebniej w świecie gloryfikował Niemców/, znalazłby wiele podobieństw w przygodach rozbitków z niemieckiego okrętu podwodnego i naszych dzielnych marynarzy.

A więc nad ranem, nie czekając aż ktoś ich zobaczy w mundurach marynarskich, zdobyli sobie komplety cywilnego ubrania. "Zarekwirowali" też dodatkowy rewolwer uznając, że broń im będzie potrzebniejsza, niż temu farmerowi, którego znienacka odwiedzili przed świtem.

"WŚRÓD ZWIERZĄT I LUDZI"

Teraz właśnie musieli odbyć wędrówkę przez góry, doliny, lasy. Śnieg ponad metr głębokości. Ubrania liche, żołądki puste. Ale głowy pełne pomysłowości. Spryt, zimna krew, wytrwałość, no i żonglowanie różnymi językami . . . A ocierali się przecież o różnych ludzi. Musieli przecież coś jeść i gdzieś spać. Gdy byli pośród Włochów proalianckich — podawali się raz za Anglików, drugi raz ujawniali, że są Polakami. Gdy raz spotkali Włocha, który jako śpiewak operowy przebywał dłuższy czas w Warszawie, to byli, ma się rozumieć, Polakami. Śpiewak, który zdążył pokochać Warszawę i Polskę, dużo im dopomógł. Faszystów raczej omijali. A gdy razu jednego, wchodząc do jakiegoś domu, natknęli się na stojącego przy drzwiach niemieckiego oficera i kilku żołnierzy, przeszli koło nich najspokojniej, nonszalanckim krokiem, rzucając od niechcenia "bondżiorno" . . .

W pewnym miasteczku zapoznali się z Włochem, który mówił nieźle po angielsku, był bowiem kiedyś w Kanadzie. Ryszard natychmiast "zrobił się" Kanadyjczykiem. Gdy Włoch powiedział, że ma w Halifax wuja, który nazywa się Rami i "trzyma" restaurację, Ryszard zaczął bić się po udach, podskakiwać i wykrzykiwać z radości. Okazało się bowiem, że w tym wypadku Ryszard *właśnie* też pochodzi akurat z Halifax i że *właśnie* doskonale zna i restaurację i jej właściciela Signora Rami . . . Ma się rozumieć było to wielką radością dla wszystkich. W rezultacie nasi chłopcy dostali dobre jedzenie, dostali schronienie i pracę u sympatycznego Włocha. No i z jego pomocą nawiązali ważne kontakty.

W dalszym ciągu przygód była i próba dokonania morskiej podróży na zdobytej od rybaka łodzi. Próba skończyła się fiaskiem, gdyż łódź zatonęła. Nasi podróżnicy znów ledwo uszli z życiem z morskich fal.

MARYNARZE W ROLI PARTYZANTÓW

Była też emocjonująca współpraca z miejscowymi partyzantami. Gdyby się chciało opisać tę przygodę, tę serię przygód, trzeba by na to osobnego artykułu, a może nawet książeczki. Kogo tylko nie było w tych partyzanckich oddziałach . . . Co za mieszanina ludów, klas społecznych i charakterów!

Pewnego dnia doszło do "wojny domowej" w oddziale partyzantów. Dowódca partyzantów dostał szału. Skakał do oczu Anglikom, członkom oddziału, krzyczał, wrzeszczał, wymachiwał nożem i rewolwerem . . . Nastąpił rozłam. Pewna część oddziału postanowiła stworzyć osobną grupę. Z Anglikami, którzy opuścili ten oddział, poszli Ryszard i Alfons. Przyłączyli się do nich dwaj Jugosłowianie, dwaj Rosjanie i nawet sześciu Włochów.

Cały rozdział stanowią operacje partyzanckie tego nowego oddziału. Zdobywanie broni, wypatrywanie za jakimś kutrem albo łodzią, dla Ryszarda i Alfonsa. Uzyskanie dla nich, jako dla marynarzy, kompasu i map. Spotkanie ze spadochroniarzem angielskim, współpraca z niejakim Alanem, który miał w podziemiach aparat radiowy i robił niesamowite wysiłki, aby skontaktować naszych marynarzy z ich jednostką, albo w ogóle uzyskać dla nich jakieś korzystne wiadomości. Wszystko to, to całe rozdziały wielkiej epopei dwóch ludzi, zatraconych w nieznanym kraju, wśród obcych, otoczonych przez wrogów, a jednak dających sobie znakomicie radę.

DRUGA, UDANA PRÓBA WYJŚCIA NA MORZE

Częste głodowanie, stałe niedosypianie, stała gonitwa z miejsca na miejsce, kołowanie po górach i lasach i stałe "podskakiwanie" do morza, które było przecież ich żywiołem i ich celem — nadszarpnęły siły Ryszarda i Alfonsa. Trwali jednak w postanowieniu powrotu do swoich. Za punkt honoru postawili sobie, wrócić na swoją jednostkę . . .

Przyszedł wreszcie dzień, na który z utęsknieniem i z pracowitym przygotowywaniem się czekali. Dnia tego Ryszard przywdział faszystowską koszulę i w towarzystwie dzielnego, sprytnego i świetnie mówiącego po włosku, angielskiego sierżanta, zeszedł nad morze.

Był to dzień decydujący dla sprawy ponownej próby otworzenia sobie morskiej drogi przez dwóch polskich marynarzy, których los rzucił na ląd. Ląd ten poznali aż nazbyt dobrze. Byli na linii frontu, myszkowali poza liniami nieprzyjacielskimi, wałęsali się po bezludnych, zatraconych górach; lasach i wreszcie zbliżyli się do celu. To był dzień triumfu. Triumfu wieńczącego wytrwałość.

Doskonała włoska wymowa dzielnego angielskiego sierżanta G., czarna faszysowska koszula Ryszarda oraz współudział dwóch włoskich rybaków — oto były decydujące czynniki, które złożyły się na to, że Starszy Marynarz Ryszard i Starszy Marynarz Alfons przeżyli trzecią — swoją własną, przygodę morską. Łódź zdobyta w bezksiężycowej ciemności została zepchnięta z lądu na wodę. Zmontowano maszt i żagiel, zaokrętowano skromne, niezbędne zapasy.

Na krótko przed północą angielski sierżant G. uścisnął mocno dłonie Ryszarda i Alfonsa. Wzajemne, cicho wyszeptane "*Good luck*" i . . . to był koniec wojennej przygody na lądzie.

PRZEZ SZTORM DO WŁASNEGO PORTU

Żałośnie zakwilił blok pod ciągiem podnoszącym żagiel. Już łódź obraca się dziobem ku otwartemu morzu. Już żagiel bierze w siebie wiatr . . . Wiatr mocny i pomyślny.

Wiatr, coraz silniejszy. To już nawet sztorm. Ale to nic. Mają dobrą szybkość. Łódź nabiera dużo wody. Ale to nic. Umieją pracować i walczyć. Wodę odlewają na zmianę, kubełkiem.

Po dwudziestu czterech godzinach znaleźli się w pobliżu portu. który musiał być przecież "własnym" portem. Artyleria brzegowa otwiera do nich ogień. — "Psia krew" — krzyczy poprzez szum wiatru Alfons — "potośmy trzy miesiące mitrężyli, aby nas przy swoich brzegach zatopili swoi . . ."

Lecz oto amerykański samolot zbliża się do nich. Nadlatuje i zniża się. Przelatuje nad samym ich masztem. Przecież rozpoznać ich nie może. Nic nikomu nie powie widok jednego obszarpańca i drugiego typa, ubranego w czarną koszulę. A zresztą ciemno.

Artyleria przestaje strzelać. Z portu wychodzi na spotkanie jakiś kuter . . . Westchnienie ulgi. To patrolowiec angielski.

Za godzinę są już w porcie. A wkrótce na swojej jednostce.

Potem nudna procedura składania zeznań i sprawozdań. Nudna, a jakżeż potrzebna i jakżeż korzystna dla własnego sojuszniczego wywiadu. Górującym jednak uczuciem, jakie napełniało serca Ryszarda i Alfonsa, jest uczucie dumy ze spełnionego obowiązku marynarskiego.

Uznanie admirała, szefa marynarki, to wyróżnienie wielkie. W Polskiej Marynarce Wojennej pochwałami się nie szafuje.

WAKL

Tragiczne pytania

Trzeci tydzień boju w Warszawie zaznaczył się uporczywymi atakami niemieckimi na stanowiska nasze w rejonach Starego Miasta i Śródmieścia. Szczególnie silne natarcia Niemcy kierowali nadal na Stare Miasto, skąd oddziały nasze uniemożliwiają im korzystanie z arterii, biegnącej przez Plac Teatralny. Obok dotychczasowych środków walki Niemcy stosują miny lotnicze, oraz czołgi typu "Goliat", kierowane automatycznie.

Zaopatrzenie Stolicy staje się coraz trudniejsze. W momencie, gdy zaczęto przed światem malować w nęcących barwach obraz dostaw lotniczych do Warszawy, pomoc ta, zresztą drobna — ustała całkowicie. Front niemiecko-sowiecki zbliżył się ku Pradze, narazie jednak nie wpłynął na przebieg walki wewnątrz miasta.

Warszawie poczyna grozić brak żywności i środków opatrunkowych. Całe miasto przemienia się zwolna w jedno wielkie rumowisko. Bezcenne zabytki historyczne i kulturalne, które zdołały przetrzymać oblężenie wrześniowe — obróciły się teraz w gruzy. Katedra Świętego Jana, kościół Bernardynów, kościół Jezuitów, kościół Najświętszej Panny Marii z początku XV-go wieku, jeden z najstarszych w Polsce, kościół Św. Krzyża, kościół Św. Jakuba, cała zabytkowa dzielnica Starego Miasta, Plac Łazienkowski, Pałac Krasińskich, liczne gmachy nowoczesne, jak Instytut Radowy, Państwowy Instytut Hygieny, i wiele innych — padły pastwą płomieni.

Lotnictwo niemieckie bez żadnej przeszkody obrzuca miasto bombami burzącymi i zapalającymi. Artyleria i moździerze ostrzeliwują ogniem nękającym wszystkie dzielnice, na odcinku zaś natarcia kładą raz po raz potężne nawały. Na ulicach mnożą się groby. Ludność kryje się w piwnicach i gruzach.

Zdawało by się, że trudno o obraz bardziej tragiczny. A jednak nadludzkim wysiłkiem woli Warszawa nie traci ducha. Ku zdumieniu całego świata uruchamia radiostację foniczną, na której antenie nadaje zarówno Radio Polskie, jak i stacja nadawcza Armii Krajowej "Błyskawica". Kino wyświetla film z bieżącej obrony Warszawy. W Konserwatorium odbywa się koncert muzyki polskiej. Prasa osiąga ogromne nakłady. Generał Bór nie ukrywa w swych meldunkach powagi sytuacji, a jednak — widać wyraźnie — zachowuje zimną krew i ani na chwilę nie traci nadziei.

Walka w Warszawie nie jest pierwszym otwartym bojem Armii Krajowej, nie jest też zapewne ostatnim. Przebieg jej jednak, zachowanie się Aliantów i wynik będzie miał niewątpliwie ogromny wpływ na postawę polityczną całego społeczeństwa polskiego w Kraju. Stąd od boju warszawskiego jeden krok tylko do Sprawy polskiej w ogóle.

A budzi ona bolesne troski. Wiadomości, napływające co raz liczniej z ziem Rzeczypospolitej, zajętych przez Armię Czerwoną, stawiają społeczeństwo polskie wobec tragicznych pytań.

Co raz częściej wreszcie w Kraju słyszy się głosy bolesnego zawodu na innym tle. Kraj nie może zrozumieć, w imię jakich racyj prawnych i moralnych nie potwierdza się dotychczas charakteru Armii Krajowej, jako kombatanta, odmawiając nam tego, co świeżo się przyznało francuskim Maquis.

Oto urywek z jednej z depesz krajowych: "Za pięcioletnią bohaterską walkę z Niemcami społeczeństwo polskie domaga się od Aliantów uznania Armii Krajowej, jako sprzymierzonych kombatantów i prosi o roztoczenie opieki przez przysłanie do Kraju na wyzwolone tereny Misji Alianckiej i podanie tego do wiadomości całemu światu".

Źle przysłużyłby się Sprawie polskiej ten, kto chciałby te myśli, nurtujące Polskę Walczącą zatajać wobec świata. Przestają już być one sprawą czystej polityki, są już po prostu sprawą każdego polskiego sumienia.

I dlatego o rzeczach tych muszę pisać otwarcie i z brutalną szczerością, choćby nawet słowa moje nie wywołały żadnej, równie wyraźnej odpowiedzi.

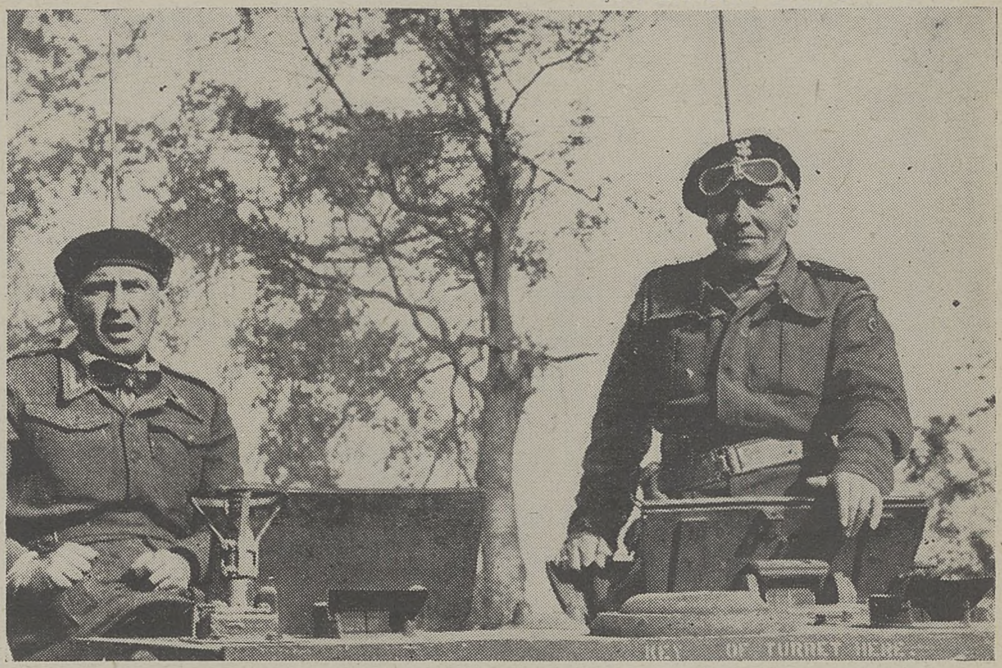
ANDRZEJ POMIAN

Dywizja Pancerna w Normandii

fot. MARIAN WALENTYNOWICZ



Generał Montgomery i generał Maczek



Dowódca Dywizji Pancernej w czołgu



Powitanie na ulicy francuskiego miasteczka



W drodze na pozycje pod Falaise



Na zapleczu Dywizji — Tilly pali się



W bezpośredniej bliskości frontu



Czołgi polskie w akcji



Rozbity czołg niemiecki

Polacy na froncie zachodnim

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")

Nadeszła nasza kolej!

Na południe od Caen 12 *sierpnia*

Gdy w dniu 7-go sierpnia na porannej konferencji prasowej dla korespondentów wojennych naszkicowano nam plan operacji, w której polska dywizja pancerna odegrać miała rolę zasadniczą — zrozumiałem to, co było myślą przewodnią wszystkich rozmów naszych żołnierzy podczas przejazdu z Anglii do Francji. Nadeszła nasza kolej!

Tegoż wieczora R.A.F. dał nam przedsmak operacji, gdy 1000 "Halifaxów" i "Lancasterów" przy świetle pocisków świetlnych bombardowało wysunięte pozycje niemieckie. Cztery tysiące ton bomb spadło na flanki przygotowanego do natarcia odcinka, a w chwilę potem jedna dywizja ruszyła do ataku. Po raz pierwszy zastosowano nowy system przewożenia piechoty. Rzucono ją na wozach zupełnie nowej konstrukcji. Były to wozy pancerne artylerii samobieżnej, z których wymontowano działa. Na ich miejsce wsadzano żołnierzy, którzy pod osłoną pancerza jechali do ataku.

Na drugi dzień przyszła kolej na Polaków. O 5-ej godzinie rano staliśmy u wylotu mostu Churchilla w Caen, obserwując przechodzące oddziały polskie. Sunęły czołgi pułków pancernych, szła artyleria, wieziono piechotę. Wśród ruin i zgliszcz potwornie zbombardowanego miasta jechały wolno oddziały polskie, aby zająć stanowiska do nowej bitwy. Z gruzów ulicznych unosi się nieznośny odór pogniłych trupów ludzkich, tysiącznych ofiar, których nikt nigdy nawet nie próbował ratować! A nad całym tym obszarem nieszczęścia ludzkiego roztacza z wysokiego cokołu swe złote skrzydła Marianna — Francja, składając hołd poległym z ubiegłej wojny. I z tej, która się toczy.

Przed rozpoczęciem akcji sądy były podzielone. Jedni myśleli, że Niemcy nie dadzą się łatwo zepchnąć z zajmowanych stanowisk, większość wyrażała opinię, że zdemoralizowani bombardowaniem — nalot powtórzony został tuż przed natarciem polskich czołgów — uciekną w popłochu, a Falaise stanie się łatwym łupem. Niestety rację mieli ci pierwsi. Niemcy, mimo ciężkich strat, szybko oprzytomnieli i opuszczając pierwszą linię obrony wycofali się na drugą linię. Co więcej, rozumieli dobrze, jak wielkie znaczenie posiada oś Caen — Falaise, oś, na której właściwie opiera się cały dotychczasowy system obrony we Francji. Nie tylko więc nie wycofali się dobrowolnie, lecz skupili wszystkie swe siły dla obrony zagrożonego odcinka.

Tak więc zamiast błyskawicznego zwycięstwa, o którym nieroztropnie marzyli niektórzy, nadeszły dni krwawych i zaciętych walk. Polska dywizja skrwawiła się, poniosła straty w ludziach i sprzęcie, lecz przeprowadziła powierzone zadanie. Nasze czołgi, a w ślad za nimi piechota, posunęły się o 10 kilometrów naprzód i po czterodniowych walkach mają na swym koncie 10 czołgów niemieckich zniszczonych kompletnie, wielu jeńców wziętych do niewoli. Dwie niemieckie linie obrony pozostały poza nami.

Wśród palących promieni sierpniowego słońca, bez dostatecznej ilości wody i przy rozpaczliwym zupełnie, mimo zapowiedzi, braku papierosów, żołnierze nasi trzymają się świetnie. Humor nie opuszcza ich w najcięższych nawet sytuacjach.

Niezwykłego wyczynu dokonał ppor. J. Jako operator filmowy Dywizji zgłosił się na ochotnika do pułku pancernego, aby wraz z nim iść do natarcia. Nie było wolnych miejsc. Młody uczepił się czołgu i stojąc za wieżyczką ze swym aparatem w ręku, ruszył ze szwadronem. W tej pozycji wytrwał pod ogniem nieprzyjacielskim przez 7 godzin, nakręcając 700 stóp rewelacyjnego filmu. Granaty pękały tuż obok czołgu. Od wybuchu jednego z nich grudka ziemi uderzyła go silnie w rękę i kolano, nie powodując jednak żadnych komplikacji. Na taśmie filmowej zanotowana została iście kawaleryjska szarża szwadronu, wybuchy granatów i wszystkie etapy walki. W pewnej chwili zdarzył się wypadek komiczny. Szelki oficera zaczepiły się o jarzmo działa. Wraz z obrotem wieżyczki filmowiec przejechał o 180 stopni i usiadł okrakiem na lufie, zwracając swą najwstydliwszą część ciała w kierunku nieprzyjaciela. Niemcy poczuli się wyraźnie obrażeni i zareagowali na tę zniewagę kilkoma strzałami, które jednak przeszły obok. Po skończeniu akcji, o godzinie 9 wieczorem J. przeszedł pieszo 5 kilometrów i zasnął wreszcie w wozie dowodzenia, przygarnięty przez generała Maczka.

Ale takich J. posiada Dywizja tysiące. Każdy spełnia swój obowiązek i spełnia go z radością. Każdy chce się najlepiej przyczynić do ogólnego wysiłku. W sumie daje to obraz zgranego zespołu, który poprzez pola Normandii i zgodnie z popularnymi tu napisami idzie *"home via Berlin"*. Do domu—przez Berlin.

MACIEJ FELDHUZEN

Polowanie na pantery

W Normandii, w sierpniu 1944

W bardzo wielu egzotycznych krajach byli już Polacy w ciągu obecnej wojny, żaden z nich nie przypuszczał jednak napewno, że będzie polował na pantery . . . w Normandii. Tak się dziwnie złożyło, że w lasach normandzkich zagnieździło się sporo "Panter", a i "Tygrys" nie należy do rzadkości. Trzeba jednak przyznać, że te "Pantery" i "Tygrysy" są znacznie groźniejsze od powszechnie znanych.

Pierwsze spotkanie polskich pułków pancernych ze "stadem" czołgów niemieckich typu "Panther" i "Tiger" miało miejsce na południe od Caen. Czołgi te ukryły się dobrze w gęstym podszyciu lasu i otworzyły znienacka ogień na nasze "Shermany". Było to zaskoczenie. Kilka naszych czołgów zostało celnie trafionych. Całe szczęście, że większość załóg zdołała się uratować.

Polaków poniosła wściekłość. Ruszyli z furią na Niemców, ziejąc z wieżyczek czołgów ogniem dział. Wiedzieli dobrze, że przedni pancerz "Tygrysa" i "Panthery" jest odporny na pociski. Chodziło więc o to, aby wymanewrować stanowisko do strzału z boku. Niemcy znowuż starali się osłaniać boki i tyły.

O powodzeniu tego uderzenia zadecydowała większa szybkość i zwrotność naszych czołgów. Wspaniałe zalety wykazały zwłaszcza "Cromwelle". "Tygrysy" i "Pantery" nie mogły sprostać nam w manewrowaniu. Szczególnie ciężkie i nieruchawe okazały się zwłaszcza "Tygrysy", które są znacznie większe i niebezpieczniejsze od "Panter".

Manewrowanie i wzajemna wymiana strzałów trwały dość długo. W końcu "Pantera" odsłoniła się niebezpiecznie. Jeden, celny pocisk — i "Panterę" ogarnęły płomienie ognia. W chwilę potem ustrzelili nasi drugą i trzecią. Wreszcie przyszła kolej na pierwszego "Tygrysa". Zarył nosem w ziemię, jak się patrzy. Kiedy wreszcie znalazł się na rozkładzie czołg niemiecki typu "Mark IV" — Niemcy mieli dosyć polskiego natarcia. Zaczęli się wycofywać.

Oglądałem potem pole walki i zniszczone czołgi niemieckie z bliska. Dwie załogi spłonęły żywcem. Nie pozostało z nich ani śladu. Wnętrze rozdartej pociskiem "Pantery" świeciło czarną pustką. Przykry swąd spalenizny unosił się nad czołgiem.

Załoga "Tygrysa" zginęła od wybuchu pocisku. Przy niemieckim oficerze, zapewne dowódcy czołgu, znaleziono m.in. kalendarzyk młodego hitlerowca. Na pierwszej stronie tego kalendarzyka wydrukowane zostały różne daty, o których hitlerowiec powinien pamiętać. Związane one były przeważnie z licznymi, historycznymi czynami Führera. Pod datą "1 wrzesień 1939" przeczytałem: "Kontratak niemiecki w Polsce". Kontratak . . .

W kalendarzyku były różne notatki natury osobistej. Pod datą 8-go sierpnia Niemiec zanotował: "Pierwsza rocznica ślubu". Wyrok losu był fatalny: młody hitlerowiec zginął właśnie 8-go sierpnia.

Od tego czasu oglądałem więcej "Panter" i "Tygrysów", zniszczonych przez polskie pociski. Te zwycięstwa napewno nie zostały odniesione tak łatwo, jak łatwo o tym piszę. I my traciliśmy załogi, i my przeszliśmy bardzo wiele. Broń przeciwnika jest równie doskonała, jak nasza. Jedni rozporządzają pancerzem, inni działem, jedni ulepszyli pociski przeciwpancerne, inni zwiększyli szybkość — tysiące specjalistów z obu stron pracowało i pracuje nad tym, aby zdobyć palmę pierwszeństwa. Ten wyścig techniki nie został jeszcze skończony. Jedno jest pewne: "Tygrys" i "Pantera" są groźnymi przeciwnikami w polu. Tym większy jest sukces polskich pułków pancernych, które zdołały zmusić nieprzyjaciela do odwrotu.

Rozmawiałem z wieloma polskimi załogami i podziwiałem ich wspaniałą postawę. Nieomal zdumiał mnie wesoły uśmiech polskiego oficera, który wycofywał się do tyłu, ponieważ pocisk niemiecki zgiął lufę działa w jego czołgu. Wracał z ciężkiej walki, czarny jak murzyn, z zapadniętymi oczami, ale . . . uśmiechnięty.

—Jadę zmienić lufę — zawołał — bo teraz mogę tylko strzelać zza węgła!

Ten polski uśmiech, polska wiara i upór są chyba naszą siłą. Trzeba bowiem dużo sił, by walczyć na polach Normandii, gdy ginie Warszawa.

RYSZARD KIERSNOWSKI

Dziennik Żołnierza
1. Dywizji Pancernej

Nasza Dywizja, która od kilkunastu dni jest w akcji w Normandii — ma swoje własne pismo polowe, odbijane na cyklostylu. Spełnia ono w najcięższych warunkach bojowych trudną i ważną rolę

Kolegom z "Dziennika Żołnierza 1 *Dywizji" przesyłamy braterskie pozdrowienia i najlepsze życzenia*

Na polskim lotnisku we Francji

Zaraz po pierwszych słowach przywitania dowiedziałem się, że przyjechałem zupełnie niepotrzebnie. Major G. oświadczył mi, że nic tu nie zobaczę, że nie dzieje się nic ciekawego, że nic nie robią i że nie mają w ogóle żadnych zadań . . .

—Nasze myśliwce nie spełniają żadnej roli — zamknął krótko dyskusję — bo co niby mają robić, kiedy lotnictwo niemieckie nie istnieje tu wcale?

—A te ganiania nad łąkami? — uprzedził pytanie. — To nie jest żadna robota . . . To tylko przyjemność. Postrzelać trochę Niemców, poniszczyć im czołgi, wozy, porozpędzać kolumny. To wszystko narazie — dodał.

Ale zaraz jeszcze zaproponował, żebym został, jak długo chcę i popatrzył, jeśli nie wierzę. Nie uwierzyłem i zostałem, choć obietnica ugoszczenia mnie *"corned beefem"* nie była zbyt kusząca. Ten nieszczęsny puszkowy *"corned beef"* stanowi podstawę naszego wyżywienia i przedmiot wszystkich bolesnych już żartów. Młody dziennikarz kanadyjski, z którym razem mieszkam w namiocie, co wieczór przed spaniem marzy głośno, jak to po tej wojnie zorganizuje wielką wyprawę zbrojną do Argentyny, gdzie masami będą zabijać bydło, aby nigdy już więcej ludzkość nie musiała jadać *"corned beefu"*.

Dzień, spędzony u lotników w Normandii, należy do najprzyjemniejszych. Cóż za wspaniały nastrój, cóż za przemiła atmosfera.

Skrzydło polskie składa się z trzech dywizjonów. Siedzą już trzy tygodnie na tym lotnisku najbardziej ku frontowi wysuniętym, co daje "urozmaicenie" w postaci licznych maszyn obcych, które nieustannie lądują. A to komuś benzyny zabrakło, to kogoś postrzelano, a to znów pogoda cholerna. Wszyscy jak w dym do G. Istny hotel lotniczy! Ruch, jak na Okęciu.

Na lotnictwie nie znam się zupełnie, to też muszę wyglądać dość śmiesznie, gdy w nabożnym skupieniu staram się zrozumieć choćby część tego, co mi stara się wytłumaczyć z wątpliwym skutkiem oficer prasowy polskiego skrzydła. Rozumiem jednak, że "Spitfiry" — to maszyny uniwersalne. Używają ich do wszystkiego. Patrole rozpoznawcze, bombardowania, osłona bombowców w dzień i w nocy, wymiatanie — wszystko jest możliwe dla "Spitfirów".

Nasze trzy dywizjony patrolują front bezustannie, starając się zabić jak największą ilość Niemców. Raz tylko mieli szczęście. Pogoda była wtedy zła, chmury wisiały na wysokości 2000 stóp. Mimo to piloci zobaczyli "Messerschmitty". W wyniku spotkania dwaj Niemcy zostali zestrzeleni, trzej inni uszkodzeni — bez strat własnych.

Ale to było tylko raz. Poza tym trwa narazie nuda. Patrole nad liniami nieprzyjacielskimi, ostrzeliwanie barek na Sekwanie. To wszystko. A i to dobre, bo czasem się zdarzy, że i cztery dni przejdą i lata się napróżno.

Dziś jednak było dobrze. Na tablicy przed *operation-room'em* wisi wykaz z wynikami rannych lotów. Pięć — dziesięć — osiem: liczby pojazdów zniszczonych przez poszczególne dywizjony. Ale w południe zachmurzyło się ponownie i piloci wałęsają się ponuro, przepowiadając nudę. Niespodziewanie jednak melduje się szef, popularnie zwany "Łapichmurką" i twierdzi z całym przekonaniem, że będzie dobrze. Już się nawet podobno przeciera. Major każe więc puścić wentylatory, może coś z tego będzie.

Szef miał rację i zaraz po obiedzie zaczyna się robota. Leci Dywizjon Wileński. Co 15 minut czwórka. Zadanie — rozpoznać okolice L. Założyli spadochrony, poszli. Tymczasem dowódca dywizjonu opowiada o swych dawnych doświadczeniach. Jak wspaniale opowiada ten człowiek. Jakiż to talent narratorski, który w słowach najprostszych potrafi odmalować istotę życia lotnika.

—Myślistwo powietrzne — to najpiękniejsza, najbardziej rasowa walka. To zabijanie wroga bez mazania się we krwi. To spostrzegawczość, opanowanie, brawura i zacięcie sportowe. Stąd też pochodzi zjawisko, że nikt dobrowolnie latać nie przestanie. Człowiek przywiązuje się do motoru, do pędu, do walki. Gdy przyjdzie kogoś przenieść, przesunąć, zwolnić — będą łgać bez końca, będą tworzyć najbardziej kłamliwe historie, będą używać wszystkich możliwych podstępów, aby tylko pozostać nadal w dywizjonie. Nigdy nie podadzą prawdziwej ilości lotów czy godzin. Zawsze odejmą, zawsze zmniejszą, a potem jeszcze będą się wykłócać i skarżyć. — "Jasiek lata o tydzień dłużej ode mnie i nie wyrzucają go, a mnie taką krzywdę robicie. Czym sobie na to zasłużyłem?"

Bo w dywizjonach zawiązują się przyjaźnie, które zwykle już tylko śmierć potrafi rozwiązać. Życie tu jest bardzo mocne, intensywne, a walka łączy wszystkich. Zasadą jest zespół, podstawą koleżeństwo. To jest niepisane, ale święcie przestrzegane prawo. I na tym polega ich siła.

W chwilach niebezpieczeństwa każdy się boi. Tak odczuwać musi przecież każdy, tylko że reakcje są różne, różne są możliwości opanowania nerwów. Ale do akcji idą wszyscy — bez względu na przeżywane uczucia. W akcji te uczucia giną zresztą — pilot w powietrzu już chyba nie myśli i nie odczuwa. Pilot walczy.

O swych kolegach z lotnictwa bombowego mówią z uczuciem wyższości . . . Tamto — to wyrobnicy. To kasa chorych — odwalą robotę i już. Myśliwcy, to inna klasa, to daleko wyższy stopień wtajemniczenia — to rycerze!

W oczekiwaniu na powrót dywizjonu idziemy do messy. Mijamy *"Erholungsheim Wolpert und Sohn"* — taki szyld. Bóg wie skąd buchnięty, wisi nad jednym z namiotów. Trafiamy na wielce ożywioną rozmowę. Okazuje się, że w sklepie wojskowym u X. można kupić wiele wspaniałych rzeczy. Bez kuponów i we frankach.

—Koszule po 14 szylingów!

—Ja kupię 100 koszul — tłumaczy młody blondyn — ubierzemy się tak fajnie, jak nigdy jeszcze przedtem. To dopiero będzie powrót!

—Są sznurki do odznak na rękawach. Ćwierć yarda za trzy pensy!

—Kupię 100 yardów i będę rozsprzedawał w Londynie. Tam potrzebują do awansów. Przecież to jedyna w ciągu tych pięciu lat szansa zarobienia. Majątek na tej wojnie wreszcie zbijemy!

Tymczasem wracają "Spitfiry". Nadlatują swobodnie i siadają na lotnisku, jeden po drugim. Słabo było. Pogoda jednak nawalała. Widoczność słaba. Ale coś niecoś tam sobie postrzelali. Motocykl się wykopyrtnął, lora dostała z cekaemu.

Nasi używają chytrych podstępów. Jedzie sobie na przykład taki wóz ciężarowy, napełniony żołnierzami. Na huk motoru zjeżdża z drogi, a Niemcy chowają się po krzakach. Pilot krąży, udaje, że nic nie widzi, leci niby dalej. Niemcy czekają jeszcze trochę dla pewności, poczem ufni, że im się udało, ładują się na lorę i jadą. A tymczasem pilot nie spuszcza ich z oka. Jeszcze przez chwilę będzie ich zwodzić, jeszcze nie teraz, jeszcze minutę. I nagłym nawrotem spadnie im wreszcie na karki. Łomot — w sam środek! Trafił!

Raport odbywa się swobodnie, w atmosferze największego znów koleżeństwa. Każdy opowiada, co widział, co zrobił, co mu się nie udało.

A gdy się żegnałem przed wieczorem, dziękując za ten dzień tak pełny dla mnie wrażeń, musiałem jeszcze obiecać, że nie napiszę o nich nic, co by pachniało jakimś patosem. Tylko bez żadnego tam bohaterstwa i poświęcenia. Tego u nas nie ma. Jest tylko przyjemność, wielka, prawdziwa przyjemność walki z Niemcami.

—Wszyscy tu pracujemy — mówili mi — bo szafa musi grać!

—Ależ naturalnie, *Sir* — do majora wszyscy mówią w ten sposób — zanotuję jedynie moje spostrzeżenia. Teraz rozumiem, że, mówiąc waszym stylem, szafa gra!

MACIEJ FELDHUZEN

Wypad komandosów na Casa Nuova

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Pamięci poległych: Stacha Pałacha i Konrada Braulińskiego.

RUSZAMY . . .

Właściwie przygotowani byliśmy już wczoraj. Wcisnąć koc do worka, zawiązać go i zanieść do domku, w którym mieściła się nasza naprędce zaimprowizowana kuchnia — było sprawą zaledwie minut.

Godzina zero zbliżała się. Raz po raz świst przelatującego pocisku artyleryjskiego z odległych stanowisk baterii polskich, jakby chciał swym śmiercionośnym skowytem powiedzieć, że skończyły się ceregiele. Ciężka artyleria grzmiała bez przerwy. Huraganowy ogień, mający trwać przez 10 minut, nie malał jednak i po upływie wyznaczonego czasu. Przeciągłym echem rozbrzmiewały jary i wąwozy po każdej detonacji, szumiały aż hen, po Osimo chyba. Żelazo przewalało się ciężką nawałą. W ryku, skowycie i wybuchach trzeba się było często uciekać do krzyku, by się wzajemnie usłyszeć.

Plutony wysuwały się kolejno ku podstawie wyjściowej do natarcia. Ppor. Pałach, z włoską "Beretą", gotową do strzału, osobiście dopatrywał szyku marszu, jeszcze rzucał dorywcze rozkazy — gdy ostatni pluton znikał w gąszczach pochyłości wzgórza.

—Maarsz! . . . Ugrupowanie, jak powiedziałem. Przy mnie radiostacja i goniec!

Czołgi poszły już do natarcia. Wybuchy pocisków mieszały się z ochrypłym, garnkowatym uderzeniem granatów moździerzy i terkotem karabinów maszynowych. Nad tymi dźwiękami górował szum motorów i zdawał się zagłuszać wszystko. Broń maszynowa grała iście jedną, nieprzerwaną serią, siekła długie zagony kukurydzy, darła się świstem pod pojedyńcze, rozrzucone samotnie zabudowania.

PO TAMTEJ STRONIE WODY

Zeszliśmy jeszcze bardziej w dół, przebyli krótki odcinek drogi, by zbiec po trawie wzdłuż krzewów i jak najszybciej przeskoczyć wąską i płytką w tym miejscu rzeczkę. W lewo od nas sterczą resztki wysadzonego w powietrze betonowego mostu. Z rejonu domków w prawo — nasze moździerze biją w oddalone punkty, jakby to im zależało na "wykończeniu" celów. Przed nami polny trakt. Po obu stronach wysoka, gęsta kukurydza, na którą nie zwracamy uwagi. Po trawie biegną kable zapewne wysuniętych obserwatorów artyleryjskich, nieco dalej biała taśma wytyczna. I oto piasek przybrzeżny.

—Tędy . . . — jakiś saper wskazuje nam ramionami wąskie koryto, które przeskakujemy szybko.

Po głowie błąka się myśl, czy Niemcy już wstrzelali się w przeprawę, czy też dopiero zaczną kłaść ogień artyleryjski.

—Grupa *Tommy-gunów* — ubezpieczyć z prawej! Druga drużyna wysunąć się!

Spotykamy "Starego" z grupą dowodzenia. Zdania krótkie, szybkie. Mijamy małą łączkę, zagłębiając się między zagony kukurydzy. Środkiem — nędzna trawa i rzadko rozrzucone młode drzewa. W odległości kilkudziesięciu kroków stoi "*Sherman*". Wiemy, że "jest ślepy", ale . . . jego karabiny maszynowe są ruchome . . . W przodzie kłęby kurzu i silne detonacje. To artyleria niemiecka kładzie zaporę. Wybuchy powstają w różnych punktach, raz bliżej, raz dalej i są równie dla nas, jak i dla Niemców niebezpieczne.

Stach jest nad podziw opanowany. Pada, powstaje, biegnie, głośno wykrzykując rozkazy. Ruchy plutonu są zgrane: ludzie jakby byli powiązani nitkami, a on za nie pociąga.

POD OGNIEM

Wchodzimy w zasięg ognia "*Shermana*". Czołg obraca wieżyczkę w lewo, znacząc pociskami wydłużone półkole. Baterie niemieckie ostrzeliwują przedpola Casa Nuova, niewielkiej wioski, której domy częściowo leżą już w gruzach. Szwadrony pancerne tam szczególnie kierują lufy działek; ogień karabinów maszynowych ma za zadanie zniszczyć wysunięte niemieckie gniazda oporu, które następnie oczyszczą oddziały piesze.

Do nas to częściowo należy. Angażując piechotę niemiecką, mamy zapobiec użyciu przez nią broni p-panc. Z pojedyńczymi gniazdami, które — wykorzystując gęstwę kukurydzy siedzą w szczelinach, głęboko wykopanych w ziemi — pójdzie łatwiej. Natknąć się, albo nie zauważywszy wleźć na odległość skoku pod lufę "*Spandau'a*" — równało by się samobójstwu. Każdy z nas o tym wiedział, pamiętał i każdy przez obserwację współpracował z dowódcą.

W paru skokach przebywamy wąski pas łączki.

—Ostrzelać kukurydzę na wszelki przypadek! — pada rozkaz.

Krótkie serię, niby kaszel, niby zgrzyty — i przerwa. Z lewej strony od nas — wał. Łagodnym zboczem wypływa z ziemi i urywa się po kilku metrach ciągłej linii. Pod nim, charakterystyczne i tak dobrze nam znane, hełmy stalowego koloru.

—*Hände hoch*!

Znów zryw serii. Lewoskrzydłowi zatrzymują się. Dosłownie — zatrzymują się. Strzały z "hip'u". Lufy "*Tommy-gunów*" zwrócone w kierunku stanowisk. Cztery pary rąk wznoszą się ku górze, wychylają się głowy, piersi. We wzroku obłąkańczy przestrach, tępota, bezmyślność. Patrzą na nas, jakby spodziewali się tego, co wmawiała w nich stale propaganda. Wiemy,



Oddział komandosów polskich w natarciu

że te ułamki sekund oczekiwania są dla nich męczarnią . . .

—Boże . . . Polacy . . . Jakiż ja jestem szczęśliwy . . .

Może ma około trzydziestu lat. Uśmiecha się jakoś smutno, ale czuje się swojo, pewnie. Drugi jest Niemcem, pozostali zaś to Norwedzy. Nie mówią nic. Biernie poddają się rewizji.

Idziemy dalej. Kilka strzałów. Padamy. Wymiana ognia i —

—*Hände hoch*!

Porucznik trzyma palec na języku spustu. Grudki ziemi wyskakują tuż przed naszymi stopami, niczym wyrywana wata. Ogień z tamtej strony przycichł. Grupa *tommygunistów* pojedyńczymi strzałami trzyma załogę gniazda przy ziemi.

—Uwaga! Rzucam granat!

Nie zdążyliśmy zachować środków ostrożności. Sekundy. Głuchy rumor, jęk zduszony, słabnący, i cisza. Zdecydowali się poddać. Pięciu ich. W szczelinie, wąskiej, głębokiej, pozostają zwłoki poległego. Jego głowa przedstawia kupę mięsa, ociekającego krwią.

W POTRZASKU

I tym nie poświęcamy dużo czasu. Wprawdzie podczas działań termin osiągnięcia punktu czasem jest określony — w tym jednak wypadku operacja pozostawiona była nam prawie bez zastrzeżeń, mimo to w Casa Nuova chcieliśmy być możliwie szybko. Na wczorajszej odprawie obliczaliśmy czas działania na czterdzieści minut. Obecnie dobiega dziewiąta; czyli byliśmy w akcji ponad godzinę.

Porucznik wydaje rozkaz posuwania się dalej — w tym samym ugrupowaniu.

—Melduj o tym, co się dzieje . . . — mówi do mnie. A po chwili dodaje: — Jeśli tak dalej będzie, wystrzelam na próżno naboje z "Berety", zmuszony w dodatku ludzi odtransportować z jeńcami . . .

—Siebie też w to wliczasz? — pytam.

—Hm . . . Tak by wypadało!

Ogień hamuje nas w miejscu. Zaterkotały "*Spandau'y*" i "*Schmeissery*" z kilku naraz stron. Nie pada żaden z nas.

—Lewi . . . zaatakować! Antek! Do przodu! — porucznik nie traci zimnej krwi.

Kpr. W. podnosi lufę "*Tommy-guna*". Parę strzałów i — co to? . . . Na twarzy jego maluje się niesamowity przestrach. Cofa się . . . wyrywa magazynek . . . szarpie za rączkę . . . "*Spandau*" zgrzytnął serią. Z lewej przed nami wtóruje mu drugi. I jeszcze inny — z tyłu tym razem, z prawej, stamtąd, gdzie tak niedawno temu grał "*Sherman*".

Jesteśmy w potrzasku. Zaślepieni pędem, nieprowokowani strzałami — nie zauważyliśmy fanatycznej załogi gniazda. Sytuacja jest groźna. Odkryci, na otwartym polu, wystawieni jesteśmy na cel ich strzałów.

ŚMIERĆ DOWÓDCY WYPADU

—Związać ogniem! Reszta marsz na zagon!

Stach wyciągnął rękę i już szykuje się do skoku. "*Spandau*" zagrał przeciągle, złowrogo.

—Ranni! Sanitariusz! Sanitaaariusz . . . !

Plut. N. wykonuje jakiś ruch zdrowym ramieniem. Chwila naprężonej ciszy. Ktoś biegnie przez pole, by go opatrzyć. Ktoś inny krzyczy: "Kundziu . . .!" I głos milknie. Pociski sypią się, jak grad. Ostry świst nad głowami. Odszczekuje nasza broń maszynowa.

Nie można myśleć. Reaguje się natychmiast po dojrzeniu czegoś podejrzanego. Walimy w płytką bruzdę.

—Pozostawić go! Założyć prowizoryczny . . . "Stuart'y" zabiorą . . .

—Rękę ma odstrzeloną . . . — dobiega od przodu.

—Konrad zabity . . . — dochodzi krzykiem.

—Związać, mówię, ogniem . . . i na nich! — Stach wychyla się.

Serie świsnęły, jak smagnięcie batem i porucznik chyli się wolno ku ziemi. Znów targnięcie . . . Znów syk . . . Znów kląsk . . .

—Oo-patrzcie . . . O, Je-zus . . . !

Podsuwam się. Grad pocisków ryje ziemię tuż przed naszą bruzdą.

—Ja-kiż . . . to . . . ból . . .

—Sierżant G . . . ski! — krzyczę — Objąć dowództwooo!

—Tak . . . G . . . ski . . . do-wódca . . . — dochodzi cichy szept.

Usiłuję wyciągnąć go za nogi. Leży niemal na skraju rowu. Jest ciężki. Ładownice zaparły się mocno w ziemię.

—Nie trzeba — mówi erkaemista. — Siny już . . .

BRONIMY SIĘ

Sierżant jest z lewej. Ogień z prawej i z tyłu trzyma nas w szachu w dalszym ciągu.

—Jurek . . . ! — wrzeszczę do st. strz. K. — Związać r.k.-emem dziada! I wygarnij solidnie na początek!

Chłopak jest szalenie odważny. Rów tak wąski, że trudno się w nim poruszyć, a on wychyla się niemal do połowy . . . Czuję swąd spalonego prochu. Zamek szczęka metalicznie, zajadle. Ale i oni odpowiadają ogniem.

Pod snopami zżętego zboża siedzi st. strz. Cz. Mundur na piersiach i rękaw ma skrwawione. Jest spokojny i zobojętniały. Leopold przekazuje meldunek przez radio. Owłada nas gorączka czynu, ale pojmujemy zarazem, jak nas jest mało . . . jakie ponieśliśmy już straty . . .

—Amunicja! — ryczy, jak zarzynane bydlę, Jurek. — Pietrek, cholero! Gdzieś wlazł!?

Rzygnął długą serią w zarośla, otarł pot z czoła i znów przyłożył stopkę "Brenna" to ramienia.

—Pietrek! — powtarza w przerwach; i dodaje, jakby do siebie: — Świetlną już strzelam . . .

Dzieli mnie od niego trup porucznika. Za mną Leopold leży z radiostacją, Zbyszek Gl . . . Magazynki podrzucamy sobie niezdarnie, ruchem szybkim, nagłym. "*Spandau*" sieje po nas od czasu do czasu, że ani unieść głowy.

ROZKAZ WYCOFANIA SIĘ

—Przedstawić sytuację! — mówi spokojnie sierż G. — Czekam na rozkazy.

Leopold powtarza. Magazynki bardzo często trzeba podsuwać sobie stopą, pełzać to do tyłu, to do przodu, ale Jurek dzięki temu "używa". Serie bzykają w gęstwie, lufa kieruje się nieznacznie nieco w lewo, potem znów dalej . . .

—Wycofać się! — odpowiada radiotelegrafista. — Są w budynku, w lewo od nas!

—Hallo, Adam dwa . . . Zrozumiałem . . . koniec!

—Za tę kukurydzę — pojedyńczo — skokami! — pada rozkaz. — R.k.m. ubezpieczy grupę kpr. K . . .

—Nie mają dotychczas żadnych strat . . . — mówi do mnie w biegu Leopold.

Znajdując się w innych warunkach — może uśmiechnąłbym się smutno. Podrywaliśmy się szybko to raz, to drugi, wyskakiwali z nagiej, ubogiej łączki, jak automaty, w szachownicę ułożone. I znów kukurydza. Po chwilowej przerwie na następnej miedzy, biegniemy dalej. Jar, kładka, przerzucona przez rów, wydeptana ścieżka. Pociski artyleryjskie biją gdzieś niedaleko; rozfurkotane odłamki wyją w konarach drzew.

Ubezpieczenie /Mietek i st. strz. B./ przebywa odcinek szosy i skokami podsuwa się ku białemu domkowi, wciśniętemu jakby między pnie topól. Czekamy, spoglądając na siebie. Nie ten domek, o którym mówili jest przed nami — Zapewne sądzili, że obydwa plutony są na tej samej wysokości . . .

Plut. K wybiegł od dowódcy z rozkazem, by nas ściągnąć . . . Ktoś krzyczy. W tym samym tempie jeszcze raz przeskakujemy rów. Rzędem, pochyleni, z bronią gotową do strzału, ciągniemy za gońcem dowódcy kompanii.

Nad głowami przeraźliwy szum przelatujących pocisków artyleryjskich. Cele są rozstrzelone, raz bliższe, raz dalsze. Odpoczywamy pod rozłożystą gruszą, zapalając papierosy. Drelich mokry od potu. Owocami gasimy pragnienie, które po dłuższym wytchnieniu tylko przejść może . . .

"ZA TRZY MINUTY RUSZAĆ . . ."

—Wzdłuż tych drzewek . . . — słyszę głos "Starego", dającego dyrektywy sierżantowi. — Za trzy minuty ruszać! . . .

—Tak jest, panie majorze . . .

Na słowa: "trzy minuty . . ." uśmiecham się mimowoli. Określenie stało się tak stereotypowe, jak: "tak jest, panie majorze".

Obecny dowódca plutonu szybko reorganizuje oddziałek i ruszamy.

Artyleria niemiecka bije bez przerwy. Złowrogi świst, rosnący wprost z każdą sekundą, zmusza nas do krycia się, co wcale nie przeszkadza w kontynuowaniu natarcia. Odłamki żelaza z furkotem przelatują nad nami, kląskają, uderzając w drzewo lub ziemię, gęsto zrytą i rytą w dalszym ciągu, warczą rekoszetem.

Łan kukurydzy zachwiał się. Serie przeciągłe z naszej strony, skok, padamy, biegniemy dalej. Ruch stwarza pozory jakiejś gonitwy.

R.k.m. usadowił się za snopami zżętego zboża. Reszta dopada jakiejkolwiek zasłony, zajmuje stanowiska, dyszy ze zmęczenia i wściekłości. Pierwsze zabudowania Casa Nuova tuż przed nami. Może w odległości kilkunastu metrów. Wzrok wszystkich wlepiony w każdy załom, w każde okno, otwór, każdą grupkę ułożonych kamieni, w zarośla, kupę gnoju nawet. Atak jest śmiały, lecz przy wspaniałej współpracy. Obserwacje na boki — ubezpieczenie z tyłu . . . Tymczasem grupa "*tommy-gunistów*" opanowuje dom. Huk eksplodującego granatu, kilka strzałów, Mietek daje znaki, że nie ma nikogo.

CEL ZAJĘTY

Przez drogę podobno uciekał chyłkiem Niemiec. Inni widzieli wycofującą się z kukurydzy grupkę. Zajmujemy drugi dom, trzeci . . . Leopold przekazuje meldunek.

Artyleria ostrzeliwuje zgrupowane zabudowania. Jest "Stary", jest dowódca kompanii, z pocztem. Sierż. G. powtarza meldunek ustnie. Kpt. Cz. stoi zamyślony. Przed budynkiem zmieszane głosy i wchodzi ppor. Rz.

—Panie kapitanie, melduję: — mam pięciu zabitych i trzech rannych. Pluton został na stanowiskach, na skraju wioski. Sam dostałem postrzał . . .

—Dobrze . . .

Twarz porucznika mokra jest od potu, brudna; włosy zmierzwione, pozlepiane na skroniach.

—Dobrze, "Żaba" . . . — powtarza kpt. Cz. i patrzy jakoś ciepło, przyjacielsko w oczy dowódcy drugiego plutonu.

* * *

Oddział nasz ma jakby ustaloną datę działań bojowych: 17-go . . . 17-go rozgrywają się sceny, o których pamięta każdy z nas, 17-go cieszymy się odniesionymi sukcesami, okupowanymi z reguły po prostu krwią poległych i potem wysiłku; 17-go przytłacza nas ciężar strat, jakie ponosimy, szczerbiąc grupkę ludzi, którzy poznali się jeszcze w Cupar.

Przeświadczenie, że straty być muszą, zespala nas. W obecnej akcji, 17-go lipca, mieściło się znacznie więcej. Widziałem prawdziwą, bohaterską śmierć kolegów — poznałem lepiej żyjących. Pierwszy raz z 1-ym plutonem złączyła nas więź mocna, taka więź, której nie skruszy nic. Bo powstała przez krew i wobec konających, których kochaliśmy tą samą miłością.

Włochy, 29 lipiec 1944 r.

JERZYCZ

Z książek o wojsku i wojnie

"Kampania norweska"

Książka nosi tytuł, który po czterech latach, dzielących nas od wypadków w niej opisywanych, niejeden mógłby określić jako "przebrzmiały". Bo wydawało by się, że to, co napisano o kampanii norweskiej w formie wspomnień, powieści czy reportaży, stanowi pewną całość, dostatecznie naświetlającą dzieje tej jedynej w swoim rodzaju kampanii, już trochę zapomnianej, w której żołnierz polski, jako jeden z pierwszych po wrześniu 1939 roku, powiedział światu, że gotów jest walczyć za wspólną ludziom wolnym sprawę. Obojętne gdzie i w jakich warunkach: poza kołem polarnym, wśród wieczystych śniegów i podbiegunowej pustki, stokroć gorszej od pustki zalegającej tereny walk na późniejszym froncie libijskim, byle walczyć zajadle, nieustępliwie, rozpacznie. Bo to, co dzisiaj jest dla nas pewnikiem: zwycięstwo, nie było nim w maju 1940 roku, kiedy to Brygada Strzelców Podhalańskich ruszała na swój pierwszy bój, aż hen za morze, w góry norweskie.

Książka Arnolda Jaskowskiego p.t. "Kampania norweska", wychodzi w porę, bo w tym momencie wojny, kiedy żołnierz polski znów chwycił za broń, aby wziąć krwawy udział w gigantycznym zmaganiu się o prawo życia wśród wolnych narodów.

Czytelnik, w którego ręce "Kampania norweska" wpadnie, zadać może pytanie, lub westchnie zniechęcony: jeszcze jedna książka o Norwegii! nie wiedząc może o tym, że Niemcy n.p. napisali ich kilkaset. Tak, jeszcze jedna i to jaka! Na 175-u stronach bitego druku potrafił w niej autor, sam dzielny uczestnik tych walk, przedstawić w sposób niezwykle wnikliwy a przede wszystkim fachowy i źródłowy, całość działań, na podstawie krytycznego rozbioru i oceny wszystkich elementów, od zasadniczych, najniższego szczebla, do elementów wysokiego szczebla dowodzenia tego rodzaju jednostką, włącznie.

Jaskowski, nie zadowala się suchym opisem faktów, rozważa, docieka, udowadnia, wykazuje co było dobre a co złe: uczy i zarazem przestrzega uważnego czytelnika, który potrafi z jego książki wyciągnąć odpowiednie wnioski. I dlatego książka ta jest książką aktualną.

W odróżnieniu od poprzedników, którzy z większym czy mniejszym powodzeniem pisali swoje wspomnienia osobiste, Jaskowski ogranicza się do fachowego i rzetelnego opracowania historycznego, stojącego niewątpliwie na wysokim poziomie tego rodzaju książek historyczno-wojskowych. Ale nie przeszkodziło to, że w tym suchym na pozór opracowaniu, jakiego moglibyśmy się spodziewać po wyższym oficerze sztabowym, nawykłym przez lata twardej żołnierskiej służby do ścisłego myślenia — objawił się rodzący się talent rasowego pisarza. Jaskowski "bierze" czytelnika "wstępnym bojem". Jest prosty, rzeczowy, szczery w swych szczupłych, a przez to dużo mocniejszych od literackich opisów, wypowiedziach, których zresztą skąpi wyraźnie. Tym większa ich waga i tym większa ich cena.

Jeżeli chodzi o ocenę książki pod względem fachowym, może ona niewątpliwie wywołać dużo polemik i krytyk, których autor wydaje się wyraźnie nie obawiać, skoro tak jak przystało na dobrego historyka naszych czasów, nie stara się w niej nic "klajstrować", czy jak się to dawniej nazywało "zabronzawiać". Ale też nie ma niczego w tej cennej książce, co było by "odbronzawianiem", niczego prócz odważnej i solidnie podanej prawdy, opartej o długie i żmudne studia obfitej bibliografii i dokumentów, czym się tłumaczy fakt, że książka ta wychodzi dopiero teraz.

Jeżeli "Kampania norweska" Jaskowskiego potrafi wnieść *nowe światło do historii walk żołnierza polskiego poza granicami kraju*, co wydaje się być także jej celem, będziemy mogli o niej powiedzieć, że dobrze spełniła swoje zadanie. Jeżeli wywoła repliki, tym lepiej dla niej i tym lepiej dla jej autora, który jak każdy rzetelny pisarz będzie rad z tego, nabywając w ten sposób pewności, że książka jego była potrzebna, na czasie i nie przeszła bez echa.

Wydawało by się na pozór, że książka fachowa, jak zwykło się nazywać opracowania historyczno-wojskowe tego typu, będzie może nieciekawa dla przygodnego czytelnika, szukającego raczej rozrywki, niż okazji do pogłębienia swych wiadomości z tej dziedziny. Aby się o tym przekonać, jak dalece się ją "dobrze czyta", wystarczy ją wziąć do ręki . . . aby przeczytać ją jednym tchem do końca.

Dobry druk, staranna szata graficzna, jak i szereg ciekawych zdjęć oraz szkiców i map, objaśniających treść, powoduje to, że książkę czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. Jest to niewątpliwą zasługą "Książnicy Polskiej" w Glasgow, która potrafiła przezwyciężyć wszystkie z wydaniem związane trudności. Po nielicznych opracowaniach nielicznych niestety pisarzy wojskowych wysokiej klasy, przyszła kolej na książkę fachową o Norwegii, która przyczyni się niewątpliwie do wyjaśnienia niejednej zagadki, otoczonej mrokiem tajemnicy, przemilczenia, czy zapomnienia.

I to jest przede wszystkim jej największą wartością. Toteż należało by sobie życzyć, aby takich książek, które warte będą powrócić z nami po wojnie do Kraju, jako trwały dorobek naszej emigracji wojskowej, było jak najwięcej.

CEZARY SZASZKIEWICZ

Ś.p. ks. Konstanty Pogłódek

Polski cmentarz wojskowy w Perth, powiększył się ostatnio o jeszcze jedną mogiłę. Tym razem przybył nowy krzyż, znacząc nasze szlaki wędrówki, a na nim wyryto nazwisko — ś.p. Księdza Konstantego Pogłódka, kapelana Polowego Szpitala Ewakuacyjnego.

Postać zmarłego znana była żołnierzowi polskiemu od pierwszych chwil w Szkocji. Czar słowa duszpasterza, niespotykana ofiarność i szlachetność, składały się na całość tej wyjątkowej osobowości. Pamiętają Go wszyscy, od najniższych stopniem, za otuchę, odwagę cywilną i pomoc, jaką niósł żołnierzom, dzieląc się dosłownie wszystkim, nie wyłączając własnej gaży. Wspominać będą księdza Pogłódka nasi jeńcy w obozach niemieckich za "paczki od serca", wyrwane czasem nawet spod serca . . .

Wielu z żołnierzy zachowa w sercu światłe rady duszpasterza-żołnierza, jak również przestrogi, które owiane były ojcowską troskliwością. Miały one też znamię wizjonerstwa.

Ksiądz kapelan Pogłódek należał do tych nielicznych ludzi, którzy na kilka miesięcy przed śmiercią, oznaczyli sobie swój kres życia.

Lekarze, wśród których ostatnio przebywał ksiądz Pogłódek, wiedzieli o pewnych dolegliwościach kapelana, jednak nie przywiązywali wagi do "proroctw", wypowiadanych przez księdza, na temat daty śmierci. Dyskusje raczej miały charakter żartobliwych rozmów, dla podtrzymania wiary w siły żywotne ogólnie lubianego kapelana.

Okazało się, że pocieszania były błędne . . .

Sześć miesięcy temu ksiądz Pogłódek oświadczył w pewnym gronie, że zakończy życie z końcem lipca. Dodał następnie, że w miesiąc po jego śmierci Niemcy skapitulują. Polska — mówił dalej duszpasterz — po ciężkich przejściach odzyska Wolność.

Od tej chwili upłynęło dużo wody. Minął maj, czerwiec i zbliżał się koniec lipca. Ksiądz Pogłódek jak zwykle ruchliwy, biegał po salach szpitalnych, pocieszał, to znowu szepnął coś choremu, by go rozweselić.

Nagle kapelan szpitalny oświadczył znajomym, że wybiera się do Perth!

—A to poco ksiądz proboszcz, wybiera się do Perth?

—Chcę sobie wyszukać działkę na spoczynek — odrzekł dobrotliwie. — Chciałbym gdzieś spocząć w suchym miejscu. Wiecie przecież, że mi wilgoć szkodzi. Trzeba też rozglądnąć się za ładnym widoczkiem na te szkockie pagórki . . . Tylko mam do was jedną prośbę. Nie zapomnijcie o mnie, tak pragnąłbym później spocząć w naszych piaseczkach nad Wisłą! . . .

Następnego dnia ksiądz Pogłódek wyjechał do Perth. Było to na cztery dni przed śmiercią.

Wrócił i znowu widziano księżulka, jak biegał z piętra na piętro.

W ubiegłą sobotę duszpasterz zawędrował do biur, co wywołało ogólne zdziwienie.

—Kogóż nasze progi widzą? Co księdza proboszcza sprowadza do naszych gabinetów — zapytali z uśmiechem lekarze.

—Chciałbym się z wami pożegnać. Już czas mi odejść! Chcę być dobrze wychowany . . .

I jak dawniej, tak i tym razem rozmowa potoczyła się w sposób pogodny.

Wieczorem tegoż samego dnia, ksiądz Pogłódek przechadzał się po parku w towarzystwie jednego z lekarzy. Ksiądz Pogłódek miał swego konika, więc po chwili powrócił do swego ulubionego tematu . . .

—No, księże kapelanie — odezwał się lekarz — jeśli tak szybko chce się ksiądz z nami rozstać, to należy się śpieszyć, jeszcze do końca lipca zostało osiem dni!

—Nie denerwujcie się, ja już słowa dotrzymam, zobaczycie . . .

W kilka godzin później, o godzinie czwartej nad ranem, wspomniany lekarz usłyszał pukanie do ściany. Pukał sąsiad, ksiądz Pogłódek . . .

Po chwili zaczęła się agonia . . . Ksiądz kapelan zmarł dnia 23 lipca 1944 roku!

* * *

Ś.p. Ksiądz Pogłódek przepowiedział sobie zgon na kilka miesięcy naprzód . . . Czy spełni się druga przepowiednia — okaże sierpień. W trzecią wierzymy święcie.

ANTONI WASILEWSKI

"Polska Walcząca" z żalem żegna w ś.p. ks. Pogłódku swego wielkiego przyjaciela i wiernego jałmużnika. Przez całe lata ks. Pogłódek był niezmęczony w podtrzymywaniu naszej akcji zbiórkowej, w szczególności zbiórki na Polaków w Rosji. Drukowaliśmy wiele jego listów z wykazami składek, ostatni, pisany na parę dni przed śmiercią, w nr. 30-ym. Jest w nich świadectwo dobrego, ludzkiego serca, które nie powinno być przez ludzi zapomniane.

Z tygodnia na tydzień

13 sierpnia: Walki o Stare Miasto w Warszawie. Armia Krajowa opuściła barykady na Tłumackim.

—Ogłoszona została odezwa gen. Bora wzywająca oddziały Armii Krajowej w całej Polsce do śpieszenia stolicy z odsieczą.

—Premier St. Mikołajczyk powrócił z Moskwy do Londynu.

14 sierpnia: Wojska sowieckie zajęły Osowiec, na płn.-zach. od Białegostoku.

—Oddziały II. Korpusu i włoskie zdobyły Frontone we Włoszech.

W nocy z 13/14 nad Warszawą przeleciały samoloty brytyjskie. Jeden z samolotów zrzucił wieniec z napisem: "Od żołnierzy brytyjskich dla naszych walczących kolegów z Armii Polskiej".

—Ujawniono, że wicepremier przebywający w Kraju nosi nazwisko: Klonowski.

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały wymiatanie w okolicach Paryża. W czasie tych działań piloci polscy strącili cztery samoloty niemieckie. Wszyscy piloci polscy powrócili.

15 sierpnia: Wojska Sprzymierzonych wylądowały we Francji południowej, między Niceą a Marsylią. W działaniach tych biorą udział m.in. oddziały francuskie oraz polskie okręty wojenne.

—Polska dywizja pancerna toczy walki w rejonie m. Potigny i lasku Quesnay we Francji północnej.

—Oddziały polskie zajęły Monte Vecchio.

—Lotnictwo Sprzymierzonych w sile około 1.100 bombowców bombardowało lotniska niemieckie w Belgii i Holandii. Zrzucono około 5.000 ton bomb. W działaniach tych brał udział polski dywizjon bombowy ciężki.

—Komunikat sowiecki podał, że wojska sowieckie odparły kontrataki niemieckie na Pradze oraz między Kownem a Tylżą i na zachód od Sanoka.

Niemcy podali, że ponad Warszawą zestrzelono dwa samoloty brytyjskie.

—Gen. Bór przesłał słowa podzięki i uznania dla lotników w imieniu walczącej Warszawy.

16 sierpnia: W południowej Francji walki toczą się o Cannes i Toulon.

—Polski dywizjon myśliwski zniszczył 20 niemieckich pojazdów mechanicznych na wschód od Falaise.

—Podano, że oddziały Armii Krajowej prowadzą walkę na prowincji m.in. w Radomiu i Miechowie. W Warszawie walki toczą się dalej o Stare Miasto, na Krakowskim Przedmieściu, w Halach Mirowskich i t.d.

—Rosjanie wycofali się z m. Ossów na płn.-wsch. od Warszawy. Wojska sowieckie wkroczyły do Sandomierza.

17 sierpnia: Amerykanie zajęli Chartres, Dreux, Orléans. Amerykańskie jednostki pancerne dotarły do St. Arnoult, 23 mile od Paryża.

—Brytyjczycy i Kanadyjczycy zajęli Troarn i Falaise. W działaniach na Falaise brała udział polska dywizja pancerna. Polska dywizja pancerna naciera z rej. Falaise-St. Pierre-sur-Dives na Trun. Niemiecka VII. Armia została częściowo zniszczona.

—Sprzymierzeni zajęli w południowej Francji m.in. St. Tropez, St. Raphael.

—Przednie oddziały polskiej dywizji pancernej dotarły do Trun.

—Patrole polskie są w styczności z nieprzyjacielem na płn. od rzeki Cesano we Włoszech.

—Ogłoszono, że wojska sowieckie dotarły do Prus Wschodnich przekroczywszy rzekę Szeszupa.

—Została uruchomiona foniczna stacja radiowa w Warszawie.

18 sierpnia: Piloci polscy z jednego dywizjonu myśliwskiego zestrzelili w czasie jednego z lotów bojowych w okolicach Paryża rekordową ilość samolotów niemieckich: 16 na pewno, 1 prawdopodobnie i 3 uszkodzone. Jeden pilot polski nie powrócił z tego działania.

—Sprzymierzeni zajęli Trun we Francji. Polska dywizja pancerna zajęła Les Champeaux, na płn. wsch. od Trun.

—W Warszawie toczą się walki około placu Grzybowskiego, Politechniki i o Stare Miasto.

—W Kwaterze Głównej Sprzymierzonych we Włoszech ogłoszono, że brytyjskie, południowo-afrykańskie i polskie załogi bombowe przewożą broń dla walczących w Warszawie. Z działań tych nie powróciło 21 samolotów.

—Ogłoszono, że w Warszawie działa delegacja Rządu R.P., złożona z wicepremiera i trzech ministrów. W Kraju ukazał się pierwszy numer "Dziennika Ustaw R.P.".

—Delegat Rządu R.P. w Kraju zwrócił się do rządu w Londynie z żądaniem akcji bombowców Sprzymierzonych oraz dalszych zrzutów broni i zaopatrzenia.

—Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego ogłosił Lublin tymczasową stolicą Polski.

19 sierpnia: Sprzymierzeni dotarli do Mantes nad Sekwaną, na płn. od Paryża.

20 sierpnia: Sprzymierzeni dotarli do Melun nad Sekwaną, na płd. od Paryża. Sprzymierzeni zajęli Argentan.

—Oddziały II. Korpusu posunęły się naprzód nad Adriatykiem. Zajęto Gabrielli, Mondolfo i Castel Vecchio.

—Stare Miasto zniszczone jest ogniem i żelazem. Walki toczą się na Lesznie i Nalewkach oraz na ul. Krochmalnej.

—Lotnictwo Sprzymierzonych bombardowało z baz włoskich ośrodki przemysłowe w Oświęcimiu, Czechowicach i w Słowacji.

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Poszukiwania

Osoby te jak również znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, Londyn, S.W.1.

WYKAZ Nr. 37

7. **Baszak** Emma, zamieszkała w dniu 25.X.1941 r. w Z.S.R.R. Siemipałatyńsk, Zana Semej Zelaznodorozna 35. — poszukiwana przez matkę Krystynę Kotarba, Kraków, Zagrody 11. oraz por. Zbigniew Zaklika, jeniec, Niemcy — Oflag VII. /6393/43/.

8. **Bester** Władysław kapral — poszukiwany przez rodzeństwo: Bester Marie, Augusta, Urszulę i Emilię, zam. w Z.S.R.R. /3800/84/.

9. **Bielawski** Paweł szer. — poszukiwany przez matkę Janinę i siostrę Halinę, zam. w Z.S.R.R. /R/41/.

10. **Blatt** Aleksander por. — poszukiwany przez żonę Bertę, dzieci: Krystynę i Magdę i teściowa Raps Leonorę, zam. w Z.S.R.R. /3800/91/

11. **Bomze** Samuel szer. — poszukiwany przez ojca Abrahama i matkę Idę, zam. w Z.S.R.R. /3800/94/.

12. **Brodziewicz** Stanisław por. — był w Kozielsku — poszukiwany przez żone Genowefę i matkę, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.

13. **Cieślak** Stanisław wachmistrz — poszukiwany przez żonę Anne, zam. w Z.S.R.R. /3800/96/.

14. **Dąbrowski** Czesław kapral — poszukiwany przez ojca Antoniego i matke Elżbietę, zam. w Z.S.R.R. /3800/82/.

15. **Doliński** /bez imienia/ wojskowy, był w Ostaszkowie — poszukiwany przez żone Antoninę i dzieci: Jerzego i Tadeusza, zam. w Z.S.R.R. /R/27/.

16. **Dębski** Leon płk. art., wywieziony w 1940 r. do Rosji — poszukiwany przez żonę Lubomirę z dziećmi, przebywajaca: Koja, Mukono, Uganda /111/.

17. **Downar** Jan — poszukiwany przez ojca, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.

18. **Downarowicz** Kazimierz, por. był w Kozielsku — poszukiwany prze żonę Terese i dzieci: Kazimierę i Jana oraz siostrę Głowacką Stanisławę, zam. w Z.S.R.R. /1800/90/

19. **Drucker** Mendel szer. — poszukiwany przez matkę Esterę, zam. w Z.S.R.R. /3800/94/.

20. **Dziunikowski** Adolf — poszukiwany przez żonę i syna, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.

21. **Eismont** Hipolit plut. — poszukiwany przez żonę Haline i syna Zbigniewa, zam. w Z.S.R.R. /3800/82/.

22. **Ertel** Józef, był w niewoli sowieckiej — poszukiwany przez żonę Irenę i córke Annę, zam. w Z.S.R.R. /R/28/.

23. **Fijałkowski** /bez imienia/ st. wachmistrz — poszukiwany przez żonę Wande i dzieci :Mirosława i Michała, zam. w Z.S.R.R. /3800/100/.

24. **Folwarczny** Henryk mjr. — poszukiwany przez żonę Irenę i córkę Zofię, zam. w Z.S.R.R. /3800/95/.

25. **Franczak** Stanisław chor. — poszukiwany przez żonę Annę i syna Waleriana, zam. w Z.S.R.R. /3800/106/.

26. **Gadowski** Franciszek podof. — poszukiwany przez żonę Kazimierę i dzieci: Władysława i Franciszka, zam. w Z.S.R.R. /3800/98/.

27. **Gąsowski** /bez imienia/ szer. — poszukiwany przez żonę Sabinę i dzieci: Wacława i Wacławę zam. w Z.S.R.R. /3800/104/.

28. **Gawron** Stefan por. był w Kozielsku — poszukiwany przez córkę Barbarę, matkę i dwoje rodzeństwa zam. w Z.S.R.R. /R/42/.

29. **Gładysiewicz** /bez imienia/ porucznik był w Kozielsku — poszukiwany przez matkę Marię i siostrę Helenę, zam. w Z.S.R.R. /3800/104/.

30. **Głowacki** Henryk podchor. — poszukiwany przez matkę Annę i siostrę Alicje, zam. w Z.S.R.R. /R/20/.

31. **Gołos** /bez imienia/ plut. — poszukiwany przez ojca Aleksandra i matkę Annę, zam. w Z.S.R.R. /3800/104/.

32. **Gordon** Jan płk. — poszukiwany przez żonę Marię, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.

33. **Gniot** Marian plut. — poszukiwany przez żonę Helenę, zam. w Z.S.R.R. /R/14/.

34. **Grabowski** Jan podof. — poszukiwany przez żonę Annę, syna Wiesława i rodziców Wincentego i Paulinę, zam. w Z.S.R.R. /R/14/.

35. **Grunt** Józef kapral. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci: Józefa i Tamare, zam. w Z.S.R.R. /3800/93/.

36. **Gwoździk** Jan sierż. — poszukiwany przez żonę Katarzynę i dzieci: Mariana i Adama, zam. w Z.S.R.R. /3800/95/.

37. **Głowacki** Franciszek ur. 1907 r. w m Kapuścińce — poszukiwany przez Stefana, Osata, Polish Forces M.E. 204 /6306/43/.

38. **Gołosz** Jan ur. 1923 r. syn Michała — poszukiwany przez brata Franciszka, Polish Forces P/49 /6292/.

39. **Gołosz** Czesław ur. 1914 r. syn Michała — poszukiwany przez Osata Franciszka, Polish Forces P/49 /6292/.

40. **Garest** Jerzy ur. 1920 r. w Brześciu n/Bugiem — poszukiwany przez matke Marię, ochotniczkę P.S.W.K. P/69 /6232/.

41. **Hanusiewicz** /bez imienia/ lekarz ppor. rez. — poszukiwany przez żonę Izabellę, dzieci: Annę i Andrzeja oraz matke, zam. w Z.S.R.R. /3800/102/.

42. **Harkawy** Grzegorz oficer rez. — był w Kozielsku — poszukiwany przez ojca Bazylego i matkę Agafię, zam. w Z.S.R.R. /3800/97/.

43. **Hodor** Władysław — poszukiwany przez żonę i dwoje dzieci, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.

44. **Jackiewicz** Antoni ppor., był w Kozielskiu — poszukiwany przez żonę Wiktorie zam. w Z.S.R.R. /3800/100/.

45. **Jakubowski** Władysław podof. rez. — był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Bronisławę, zam. w Z.S.R.R. /3800/97/.

46. **Januszko** Piotr ppor., był w Starobielsku — poszukiwany przez ojca Jana i matkę Helenę oraz siostrę Jadwigę, zam. w Z.S.R.R. /3800/101/.

WYKAZ Nr. 38

1. **Rodziewicz** Bolesław por., był w Starobielsku — poszukiwany przez matkę Anne, zam. w Z.S.R.R. /3800/100/.

2. **Jaworska** Helena .z domu Sidwa, córka Leonarda, ur. Chorzele — poszukiwana przez Miss Helen L. Blaszczynski, 98, Midland Place, Newark 6. New Jersey, U.S.A. /6968/43/.

Dla Polaków w Rosji: £11,113

Szanowny Panie Redaktorze,
W załączeniu przesyłam money order RF 22024 na sumę £24.18.0 /słownie: dwadzieścia cztery funty, osiemnaście szylingów/, zebraną na Polski Czerwony Krzyż na wystawie fotograficznej "Through Polish Eyes" w Derby. Była to dwudziesta dziewiąta wystawa z rzędu.

Jednocześnie proszę o przysłanie dwóch egzemplarzy z notatkami o wpłacie co służy mi za pokwitowanie.

Z poważaniem
Paweł Miller

* * *

Szanowny Panie,
W załączeniu przesyłam 8 szylingów. Sumę tę proszę przekazać Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi dla Polaków w Rosji.
Z poważaniem
J.P.

15 szylingów na dzieci nasze w Rosji.
M. Płoszajska

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £26.1.0 /słownie: dwadzieścia sześć funtów i jeden szyling/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £11,113,17.5 /słownie: jedenaście tysięcy sto trzynaście funtów, siedemnaście szylingów, 5d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,
Thank you for so promptly acknowledging my postal order sent to your POLISH CHILDREN'S RESCUE FUND. I received a most unexpected gift last night, which I should like to send you in the hope that soon you will be able to begin your work amongst the children of Warsaw. Enclosed is postal order for £1.5.0.
I am,
Yours faithfully,
/Miss/ Margaret L. Samuel

Redakcja "Polski Walczącej",
Przesyłam P.O. na sumę £3 /słownie: trzy funty/ zebrane wśród Polek i Polaków tutejszej stacji na opłacenie mszy św. za intencję pomyślności walk w Warszawie, a nieprzyjęte przez ks. Grace'a, które to pieniądze z polecenia ks. Grace'a proszę przekazać na fundusz Pomocy Dzieciom Polskim.
Polski Senior Officer Nr.3.R.S.
I. M. Por. pil.

Zbiórka książek

Do Redakcji "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam kilka książek, jako dar dla Armii Polskiej na Wschodzie. Książki zebrane zostały z
namiotu 28

Załączone: "Egzamin kierowcy", "Teach Yourself Biology", X. Pruszyński: "Droga wiodła przez Narwik", Rita: "Vignettes Stories", "1000 słów po angielsku", St. Mackiewicz: "Historia Polski".

* * *

Bezimiennie przesłano: H. D. Bradbury: "Standard English", "Attack and Defence", "Taken Verbatim from the House of Commons, Official Report of Parliamentary Debates", L. Dumas: "Le livre unique de Français", "Madame Tussaud's Exhibition", Ks. M. Morawski: "Katolicyzm", "Underground Poland Speaks", "Two Septembers", Fr. Bauer Czarnomski: "Sam na sam czyli rozmowa z Mackiewiczem o Mackiewiczu", "Nowa Polska" /1 egz./, "Pomniki literatury ojczystej", "First to Fight", "Poradnik dla pracowników świetlic żołnierskich" /4 zeszyty/, 9 egz. "Bellony", "Propedeutyka filozofii" i podręczniki geometrii i arytmetyki.

* * *

Dotychczas zebrano za pośrednictwem "Polski Walczącej" 4.436 książek.

Na "paczki od serca": £3,676

Uzyskany rabat w sumie sh.15 d.1 z rozprzedaży na terenie Dywizjonu "Ziemi Czerwieńskiej" w miesiącu lipcu "Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza", "Polski Walczącej" oraz "Skrzydeł" przekazuję Postal Order'em na polskich jeńców wojennych w Niemczech.
Z poważaniem *M.Z.*

* * *

Pan Redaktor
"Polski Walczącej" w Londynie,
Przy niniejszym załączam "Postal Order" na £1.1.7 na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech, od podoficerów i strzelców komp. szkolnej C.O.W. Szturm.
Oficer opieki
B.R. ppor.

* * *

Przesyłam "bezimiennie" £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam na "paczki od serca" Postal Order na sh.12 i sh.10. Razem sh.22.
por. J.K.

Szanowny Panie Redaktorze,
Przesyłam 15 szylingów na dzieci nasze w Rosji,
15 szylingów na "Paczki od serca".
Z poważaniem
M. Płoszajska

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £4.13.8 /słownie: cztery funty, trzynaście szylingów, 8d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,676.4.8 /słownie: trzy tysiące sześćset siedemdziesiąt sześć funtów, cztery szylingi i 8d./, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

Ukazał się Nr. 46 "Poradnika dla pracowników świetlic żołnierskich" wydawanego przez Polską Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanii.

Numer jest poświęcony Armii Polskiej na Wschodzie /A.P.W./, a szereg artykułów i zdjęć fotograficznych obrazuje powstanie, rozrost oraz dzieje tej armii od Pahlevi do Monte Cassino.

Rozdział zatytułowany: "Kultura i sztuka" mówi obszernie o nauce i pracach wydawniczych, o życiu religijnym żołnierza, o teatrze, piosence, wystawach malarskich i innych poczynaniach kulturalnych, podjętych i świetnie zrealizowanych przez A.P.W.

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

ASEKURACJA PRZED ZAMACHEM



—Wodzu czy mogę już zdjąć ręce?
—Jeszcze z panem marszałkiem konferencji nie skończyłem! ...

DOWCIPNIŚ

Ułan Ciuciurupa ze zdziwieniem przypatruje się, jak szef szwadronu czyści sobie zęby.

—No dlaczego tak gapicie się na mnie, nie widzieliście jak się zęby czyści?

—Owszem widziałem, tylko dziwi mnie, że i pan szef przed jedzeniem ostrzy sobie zęby!

PAMIĄTKI ...

W pewnym szkockim domu gospodyni wskazuje na fotografię z dedykacją pewnego polskiego żołnierza i zapytuje:

—*"Do you know Prince Dyrda?"*

BRAK APETYTU

Do lekarza obozowego zgłasza się kapral Pierunek.

—Co wam dolega? — pyta pan major.

—Boli mnie coś w brzuchu.

—A co jedliście na obiad?

—A no nic, to co wszyscy. Trzy porcje zupy, dwa razy repetę i trzy garnki kompotu.

—I to wszystko?

—Jeszcze wtroiłem 16 ciastek w kantynie, flaszeczkę piwa i dwie kawy.

—A oleju rycynowego nie piliście?

—Nie, to by już było za dużo na mój żołądek ...

W LONDYNIE



—Panie kolego, jeżeli pan chce ze mną rozmawiać, to proszę w tej chwili wyjąć monokl! Ja nie chcę być skaleczony odłamkami szkła przy podmuchu ...

W BERLINIE



—Moja pani, dlaczego nasi wyżsi oficerowie chodzą w maskach gazowych?

—To pani nie wie, że u nas już śmierdzi ...

AUTENTYCZNE

Szef kancelarii jednego z wyższych dowódców w Szkocji, telefonuje do adiutanta generała, który jest objeździe.

—Panie rotmistrzu, chciałem zameldować, że kotek pana generała uciekł z mieszkania ...

—No to co z tego, szefunio już nie ma większych zmartwień? Uciekł — to wróci!

—Wątpię panie rotmistrzu, kot boi się wody!

—Jakiej wody???

—Nie lubi też swądu ...

—O czym to szef mówi? Nic nie rozumiem!

—Ja jestem *sorry*, ale stopiły się także srebrne tace i radio przestało grać ...

—Szefie, co pan zalewa!

—Ja nie, tylko straż pożarna zalała mieszkanie pana generała, cały pokój się spalił, ale proszę o tym panu generałowi nie mówić, tylko że kotek uciekł ...

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie ...?

1/ Czy Napoleon mógł wysłać telegram, a Wellington dać się sfotografować?

2/ Co to jest "guerrilla" i dlaczego tak się nazywa?

/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika/

Z Brytyjskiej Izby Gmin

Pewien poseł zapytywał, czy rząd przeprowadza badania nad stosowaniem napędu odrzutowego */jet-propulsion/*, którym pędzone są między innymi także "bomby latające" — do transportu drogowego. Poseł Seymour Cocks postawił dodatkowe pytanie: "Czy mój wielce szanowny przyjaciel zdaje sobie sprawę z tego, że na ogół ludzie nie życzą sobie, aby po szosach jeździły samochody z ogonami rozżarzonymi do czerwoności?"
/d/

"The Stratford-upon-Avon Herald" cytuje następujące ogłoszenie przybite na tablicy przy kościele: "Ze względu na brak robotników i brak miejsca na groby, tylko umarli żyjący w parafii mogą być tutaj pochowani".
/d/

Odpowiedź: 1/ Napoleon często wysyłał telegramy, ale nie przy pomocy elektryki. Pierwsze telegrafy zainstalowali Francuzi w 1794 roku. Były to telegrafy semaforowe, umieszczone na pagórkach a depesze "nadawano" z jednego pagórka na drugi aż dochodziły do adresata. Wellington umarł w 1852 roku, a pierwsze fotografie robiono już w 1846.

2/ Guerrilla jest to wojna podjazdowa toczona przez drobne nieregularne oddziały partyzanckie. Nazwa pochodzi od hiszpańskiego zdrobnienia słowa "guerra" — wojna.
/d/

TYLKO ŻART /NA SZCZĘŚCIE!/

—Słuchaj Betty — mówi ojciec do 16-to letniej córki — weź krowę, niech sobie skubie trawę tuż przy drodze. Tylko jedno: jak zobaczysz żołnierza, szybko wracaj do domu ...

Po chwili przybiega Betty:

—Tatusiu, drogą zbliża się żołnierz angielski!

—O.K. możesz paść dalej.

W pięć minut później:

—Tatusiu, nadchodzi Kanadyjczyk!

—To sobie stań przed domem!

Po chwili:

—Tatusiu zbliża się Amerykanin!

—Amerykanin? — to wchodź do sieni!

W godzinę później:

Tatusiu, sto metrów od nas zatrzymał się żołnierz polski!

—Polak! w tej chwili bierz krowę i zamykaj drzwi! ...

W MYŚL ROZKAZU — NAWET NA RANDKĘ CHODŹ W PASIE



I Szkot: — Żal mi tych Polaków!
II Szkot: — Dlaczego?
I Szkot: — Popatrz, jak w piątym roku wojny muszą zaciskać pasa!

Tekst i rysunki: TONY

POSZUKIWANIE

Poszukuje się por. zawodowego wojsk łączności HENRYKA ROMISZEWSKIEGO, syna Józefa i Heleny z Rodziewiczów, ur. dn. 25.V.1910 r. W r. 1939 był więziony w Stanisławowie, poczem deportowany do Rosji. Poszukuje Attachat Wojskowy Polski w Stockholmie.

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

Poszukuje się:

1/ HELIODORA PRZEORSKIEGO, ur. 1892, syna Franciszka i Franciszki, kapitana służby czynnej, ostatni przydział: Sztab. D.O.K. III. Grodno, skąd wyjechał na Litwę.

Wszyscy wojskowi, którzy przebywali na Litwie są proszeni o wyczerpujące wiadomości, o co prosi żona, przebywająca obecnie w Ugandzie /Afryka/.

2/ WITOLDA WIERNEGO, urodzonego w Czeladzi pod Sosnowcem i tam zamieszkałego przed wojną, powołanego przez Niemców do służby w wojsku niemieckim.

Wszyscy wojskowi, którzy byli w armii niemieckiej w Normandii, a obecnie przybyli do W. Brytanii — proszeni są o informacje dla rodziny.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Mrs. Muszyńska Janina, 21, Struan Gardens, Cathcart, Glasgow.

KOŁO HANDLU ZAGRANICZNEGO PRZY SWIATOWYM ZWIĄZKU POLAKÓW Z ZAGRANICY

W dniu 12 sierpnia b.r., w klubie Orła Białego w Londynie, z okazji zakończenia cyklu wykładów gospodarczych dla działaczy emigracyjnych, odbyło się zebranie organizacyjne stowarzyszenia p.n. "Koło Handlu Zagranicznego przy Swiatowym Związku Polaków z Zagranicy."

W zebraniu wzięło udział szereg działaczy gospodarczych z różnych terenów Polonii zagranicznej, kilku członków Koła Eksportowego w Polsce oraz handlowców zainteresowanych w rozwoju międzynarodowej wymiany gospodarczej.

Założyciele ustalili zasadnicze cele i ramy organizacji poczym powołali Zarząd Tymczasowy Koła. Prezesem Koła wybrany został p. inż. W. Karasiewicz z Paryża.

Zainteresowani działacze gospodarczy z terenów zagranicznych proszeni są o zgłoszenie swoich adresów w siedzibie Swiatpolu: 45, Belgrave Square, London, W.1. (Koło Handlu Zagranicznego.)

Oficerów, podoficerów byłego 80 pp. 20 D.P. proszę o natychmiastowe porozumienie się Z LEK. GRZEGORZEM KAGAN, P.F. 265 M.E. /były lekarz II Baonu 80 pp./

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.